

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

LIPIEC 2020/4

magazynhisteria.pl



CIEMNOŚĆ
DAROWANEMU KONIOWI ZAGŁĄDA SIĘ W ZĘBY
NOC ZADUSZNA
TATUŚ
ŻÓŁCI LUDZIE

SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
CIEMNOŚĆ	Agnieszka Mohylowska	5
DAROWANEMU KONIOWI ZAGLĄDA SIĘ W ZĘBY	Bohdan Waszkiewicz	16
NOC ZADUSZNA	Joanna Martyna Turchan	32
TATUŚ	Krystian Bałajewicz	39
ŻÓŁCI LUDZIE	Rafał Pietrzyk	46

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka : Joanna Widomska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Roman Panasiuk, Małgorzata Siłkowska, Izabela Wojciechowska, Zvyrke

Korekta: Kaja Jaroszevska, Joanna Korytko, Szymon Majcherowicz, Anna Wojciechowska

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami lipcowa Histeria, czyli 39. wydanie naszego magazynu. W środku znajduje się pięć opowiadań grozy, które zostały napisane przez (w większości) debiutujących u nas autorów.

Życzymy strasznej lektury i wracamy do prac nad wrześniowym numerem.



B. Jaworski i M. Zawadzki

ZBIÓR NAJLEPSZYCH
HISTERYCZNYCH OPOWIA DAŃ



SKLEP. OKOLICA STRACHU. PL



rys. Zvyrke

CIEMNOŚĆ

Agnieszka Mohylowska

Rano, jak co dzień, chciałem nakarmić Brutusa i Astrę, ale nigdzie nie mogłem ich znaleźć. Zazwyczaj czekały na ganku, niecierpliwie merdając ogonami, wygłodniałe i spragnione śniadania. Noce robiły się coraz zimniejsze, więc ojciec kazał zamykać je w szopie. Wczoraj zapomniałem. Gdy wychodził do pracy i nie zobaczył ich na podwórku, pewnie myślał, że jeszcze śpią w drewnianej szopce, na workach wypchanych słomą. Serce podeszło mi do gardła. Gdzie się podziały? Na wszelki wypadek postanowiłem sprawdzić stodołę i obie obory. Wszystkie drzwi były szczelnie zamknięte. Po kolei zaglądałem do każdego budynku, wołając je po imieniu, ale odpowiadało mi tylko posępne muczenie krów przeżuwających siano. Normalnie przybiegały na pierwsze wezwanie. To posłuszne bestie – powtórzyłem mimowolnie słowa, które często wypowiadał ojciec. Podwinąłem rękaw kurtki i

obróciłem skórzany pasek zegarka, za szeroki jak na mój chudy nadgarstek. Zapinałem go na ostatnią dziurkę, a i tak był za luźny. Spojrzałem na tarczę – za kwadrans ósma. W piersiach poczułem ukłucie paniki. Nie wiem, czego obawiałem się bardziej – spóźnienia do szkoły czy tego, że nie nakarmię psów. Przez chwilę stałem nieruchomo na podwórzu, zastanawiając się, co mocniej rozwścieczy ojca. „Jesteś taki sam jak twoja matka: głupi i strachliwy” – zadrzałem, słysząc w głowie jego zachrypły głos. Muszę podjąć właściwą decyzję, tak jak mnie uczył. Inaczej znów zło mi skórę, pomyślałem, starając się wziąć się w garść. Wejrzałem na ganek, gdzie zostawiłem garnek z mięsem. Psy są ważniejsze niż lekcje, stwierdziłem, ruszając w stronę sadu. Zdecydowałem, że przeszukam całą działkę, skrawek po skrawku.

Gdy dotarłem do płotu, tuż za starą, pokrzywioną jabłonką, krzyknąłem. Długi, rozpaczliwy pisk poniósł się po podwórzu, a potem umilkł, wkraczając na puste pola otaczające nasze gospodarstwo. Nikt nie mógł mnie usłyszeć, bo w okolicy nie mieszkała żadna rodzina. Najbliższym sąsiadem był samotny emeryt, którego dom znajdował się trzy kilometry stąd. Wiedziałem, że jestem zdany tylko na siebie. Serce waliło mi w piersi. Ostrożnie zbliżyłem się do czarno-białej kulki zwiniętej na wygniecionej trawie i ukucnąłem. Wyciągnąłem rękę i pogłaskałem Astrę po głowie, tam, gdzie lubiła, między uszami. Jej puszysta sierść była zimna i wilgotna. Poczułem, że łzy płyną mi po policzkach. Nie chciałem się mazać, mężczyźni nie powinni płakać, ale nie potrafiłem się powstrzymać, bo Astra była moją jedyną przyjaciółką. Jak miałem cztery lata, ojciec przyniósł do domu dwa szczeniaki. Wychowałem się z nimi. Mimo że były to psy ojca, przez niego tresowane, cicho nazywałem Astrę „moją psinką”. Dawała się głaskać i czasem lizała mnie po twarzy, nie tak jak Brutus – dziki i niedostępny. Cokolwiek robiła, wiedziałem, że w głębi serca jest dobra, nieważne do jakich okropnych rzeczy przymuszał ją ojciec. W podobny sposób myślałem też o sobie.

Teraz jednak leżała nieruchoma i sztywna, z otwartym pyszczkiem, przy kałuży własnych wymiocin. Śmierząca breja zabarwiona była krwią. Zatrucie, postawiłem diagnozę, tak jakby zrobił to ojciec. Ciało nienaruszone, bez żadnej rany, ustaliłem, dokładnie badając ją wzrokiem. Nic innego z dnia na dzień nie wykończyłoby zdrowego psa. Wstałem, poprawiłem kurtkę i podciągnąłem spodnie. Mimo paska, wciąż były za szerokie w pasie. Ojciec kupował ubrania na wyrost, licząc, że szybko urosnę.

Obszedłem jeszcze raz całe ogrodzenie, lecz Brutusa nie znalazłem. Czasem podkopywał się pod płotem i wychodził na nocne polowanie, ale zawsze o świcie wracał cały i zdrowy, nieraz z jakimś zającem w pysku, skradzioną kurą albo zameczonym kotem. Rzadko robił to w zimę, zauważyłem. Był środek grudnia i choć nie spadł jeszcze ani jeden

plątek śniegu, przez nocne przymrozki ziemia zamarzła. Nie dałby rady wykopać dziury na tyle dużej, by precyzyjnie się na drugą stronę. Był przecież znacznie większy od Astry, stwierdziłem. Nie rozumiałem, w jaki sposób psisko zniknęło z podwórka. Ojciec przecież zabezpieczał furtkę i bramę kłódką. Czy ktoś mu pomógł? Czy możliwe było uprowadzenie wielkiego, agresywnego psa? Musiałem poczekać z szukaniem odpowiedzi na te pytania. Czas mijał i każda upływająca minuta pogarszała moją sytuację. Postanowiłem, że pójdę do szkoły. Tutaj i tak nic nie mogłem działać. Na pomoc Astrze było za późno. Nie chciałem zostawiać jej samej, ale nie miałem pojęcia, co zrobić ze zdechłym psem. Możliwe, że ojciec zakopie go gdzieś pod drzewem albo wywiezie na pole. Bałem się, że zrobię coś źle, a ojciec wykorzysta to, by przypomnieć mi, jakim głupim dzieckiem jestem. Nie zgodził się na podłączenie telefonu, a w pracy odwiedzić go nie mogłem. Gdybym zjawił się w tartaku, wściekłby się, że zawracam mu głowę. Zostałem więc sam, a w takich chwilach nigdy sobie nie ufałem.

Przykryłem Astrę pustym workiem po paszy, choć było to bez sensu, wsiadłem na rower i popedałowałem zwirową drogą łączącą nasz dom z wioską. Zdażyłem na drugą lekcję, ale wychowawczynie i tak wypytywała mnie, jakbym nie pojawiał się w szkole co najmniej przez miesiąc. Naprędce wymyśliłem wiarygodną bajeczkę, którą opowiedziałem, patrząc jej prosto w oczy. W oczach odbija się dusza, powtórzyłem w myślach wyuczony frazes.

– Wychodziłem z domu, kiedy krowa zerwała się z łańcucha. Pół godziny zaganiałem to uparte zwierzę – skłamałem bez mrugnienia.

Nie chciałem przy całej klasie opowiadać o psach, a i ojciec uczył mnie, że nie warto wtajemniczać obcych w nasze sprawy. Nauczycielka spojrzała na mnie podejrzliwie spod swoich starannie ułożonych, gęstych brwi, ale chyba uwierzyła, bo potem skinęła głową i pozwoliła mi usiąść w ławce. Wiedziała, że mieszkam sam z ojcem i mu pomagam. Podobno do naszej wsi przyjechała z miasta i sporo czasu zajęło jej zaakceptowanie, że dla większości tutejszych rodziców codzienna praca dzieci w gospodarstwie jest cenniejsza niż ich wykształcenie. Usiadłem na krześle i wyciągnąłem z worka zeszyt, ale w ogóle nie mogłem skupić się na lekcji. Wciąż myślałem o Astrze i o tym, co powiem ojcu. Może uzna, że to moja wina? – przyszło mi do głowy. Na pewno. Przecież nie zamknąłem jej w szopie, tak jak kazał. Na tę myśl aż wyprostowałem się w ławce, bezwiednie napinając liche mięśnie brzucha, jak zwykle, kiedy szykowałem się na przyjęcie ojcowskiego ciosu. Jednak to nie lanie było najgorszą karą, a to, do czego mnie zmuszał.

– Masz robaki, że tak się wierzisz, ty pokurczu? – nagle za plecami usłyszałem szyderyczy głos Ryśka. Uwielbiał mnie torturować i świadomie uderzał w najczulszy punkt.

Byłem kurduplem, o głowę niższym od kolegów z klasy, i nienawidziłem się za to. Gdybym tylko odziedziczył geny po ojcu – jego postawną sylwetkę, długie nogi i szerokie barki. Los jednak pokarał mnie krótkimi kończynami, drobnym i wątłym ciałem. Nieważne, ile jadłem, rosłem powoli i mało przybierałem na wadze. To dlatego nie miałem kolegów. Nikt nie chciał przyjaźnić się ze słabeuszem.

Gdy zadzwonił dzwonek kończący lekcje, czułem się jak przebudzony z głębokiego snu. W jednej chwili sala opustoszała, wszyscy wybiegli na korytarz. Cały budynek zapełniły krzyki, śmiechy i rozmowy. Dzieci cieszyły się, że wracają do domów. Spakowałem rzeczy, ubrałem kurtkę i niespiesznie zwróciłem się w stronę wyjścia. Wciąż nie miałem pojęcia, jak rozegrać sprawę ze śmiercią Astry tak, by ojciec mnie nie obwinił. Tuż przy frontowych drzwiach szkoły przecisnąłem się przez grupkę stłoczonych pierwszaków. Czekwały na swoje matki – wiecznie zajęte kobiety w kolorowych fartuchach, pachnące kiszonymi ogórkami i domowym kompotem. Cieszyłem się, że jestem w piątej klasie, gdzie nikt już nie dziwi się, że wracam sam. Ojciec nigdy mnie nie odprowadzał. Powiedział, że muszę jak najszybciej nauczyć się samodzielności, bo życie nie będzie się ze mną cackać. Matki zaś nie miałem. Jako malec fantazjowałem, że wróci, znów z nami zamieszka, a ojciec zmieni się i nie będzie taki surowy. Z czasem jednak przestałem o niej marzyć. Zacząłem wątpić, czy kiedykolwiek istniała. Tak niewiele o niej wiedziałem. Nowe informacje pozyskiwałem tylko wtedy, gdy zdenerwowany ojciec wymieniał najgorsze cechy mojego charakteru, które po niej odziedziczyłem. Nie pamiętałem też jej twarzy. Ojciec twierdził, że odeszła, gdy miałem rok, ale mu nie wierzyłem. W domu nie znalazłem żadnego zdjęcia, żadnej najzwyklejszej rzeczy, która należałaby do kobiety. Nie chciał mi wyjaśnić, dlaczego uciekła w pośpiechu, zabierając wszystko oprócz syna. Było tak, jakby istniała tylko w mojej wyobraźni. Wiem, że to głupie, bo mężczyzna nie może spłodzić dziecka bez kobiety, lecz wydawało mi się, że jestem tworem wyłącznie mojego ojca – wybrakowanym stworzeniem, które kształtuje na swoje podobieństwo.

Dotarłem do stojaków, przy których tłoczyli się uczniowie tak jak ja mieszkający daleko za wsią. Każdy przez chwilę mocował się z łańcuchem i kłódką, a potem wsiadał na swój pojazd i odjeżdżał. Dostrzegłem czerwoną ramę mojego roweru, wsunąłem rękę do kieszeni po kluczyk i już chciałem ściągnąć zabezpieczenie, kiedy zauważyłem, że w tylnym kole nie ma powietrza. W plecaku nosiłem pompkę, ale tu niewiele by pomogła – oponę i dętkę bezlitośnie potraktowano nożem. Usłyszałem jakiś zduszony śmiech. Na schodach przy wejściu stał Rysiek z kolegami. Gdy zobaczyli, że na nich patrzę, zaczęli otwarcie rechotać, odsłaniając swoje popsute zęby. Zwijali się ze śmiechu. Krew napłynęła mi do głowy i

poczułem falę gorąca na policzkach. Byłem wściekły, ale musiałem na sobą panować. Jest ich więcej, a żadnemu nie dorównuję siłą. Stłuką mnie na kwaśne jabłko, a ojciec wpadnie w furję, tłumaczyłem sobie. Chwyliłem rower i zacząłem prowadzić go w stronę domu, walcząc z pragnieniem, aby nie obejrzeć się i nie obrzucić ich pełnym nienawiści spojrzeniem. Wiedziałem, że źle to by się dla mnie skończyło.

Ulżyło mi, gdy dotarłem na polną drogę, zostawiając za plecami skupione wzdłuż głównej ulicy domy. Robiło się szaro, choć godzina nie była wcale późna. Zimą dni stawały się coraz krótsze. Otaczały mnie tylko pola. Pusta, zaorana ziemia rozciągająca się aż pod horyzont sprawiła, że w końcu mogłem odetchnąć. Świat jest ogromny i piękny, stwierdziłem i wciągnąłem zimne powietrze do płuc, czując, jak gasi w moim wnętrzu rozpalony przez gniew płomień. Na moment przymknąłem powieki. Ta krótka chwila całkowitej ciemności wystarczyła, żeby ojciec znów przemówił w mojej głowie. „Ogromny i piękny, dopóki nie spowije go ciemność, a zło jak zaraza nie rozniesie się wśród wszystkich żyjących stworzeń” – usłyszałem jego głos tak wyraźnie, jakby szeptał mi do ucha. „A gdy ciemność zrodzi nienawiść, zanikną jakiegokolwiek więzi, sąsiad podniesie rękę na sąsiada, rozpadną się rodziny, brat wyda brata na śmierć, a dzieci powstaną przeciw rodzicom” – powtarzał, odwołując się do znanych wersów z Biblii, a potem dodawał, że on nie pozwoli mi się zbuntować. Nigdy. „Po moim trupie” – podkreślał, patrząc na mnie z góry. Czuję się wtedy jeszcze mniejszy, niż naprawdę byłem.

Przechodziłem właśnie obok gospodarstwa pana Andrzeja, kiedy zerwał się wiatr. Wtuliłem brodę w kołnierzyk kurtki, żałując, że nie zabrałem szalika. Wokół panowała cisza, przerywana szumem wiatru, dźwiękiem toczących się po żwirze kół i krokami moich stóp. Spojrzałem w stronę domu sąsiada z niepokojem. Staruszek hodował sporo drobiu. Zazwyczaj na podwórku panował harmider – gęgały gęsi, kwakały kaczki, piały koguty. Teraz jednak całe gospodarstwo pogrzyżyło się w bezgłośnym śnie. Ani zwierząt, ani gospodarza nie było widać ni słyhać. Przejeżdżając obok co najmniej dwa razy dziennie, nieraz widywałem go przy obrządku. Wiosną wychodził na pole i pielł buraki, które co roku sadił w tym samym miejscu, lekceważąc zasady płodozmianu. Ojciec wyśmiewał jego głupotę, mnie zaś intrygował ten niedorzeczny upór. Zawsze gdy widziałem pana Andrzeja, z daleka krzychałem „dzień dobry”, mimo że on nie odpowiadał. Kiedyś był nauczycielem i pewnie przez to nosił absurdalnie grube okulary, nic dziwnego, że na starość nie chciał już nawet patrzeć na obce dzieci. Własnych też nie miał, co czasem mnie złościło. Może jakby się ożenił i spłodził syna, dałby mi szansę na przyjaciela? Dwóch chłopców mieszkających na odludziu znalazłoby wspólny język, myślałem sobie, lecz były to wyłącznie czcze marzenia.

Staruszek kochał tylko swoje koty, często wylegające się na betonowych słupkach płotu, teraz opustoszałych.

Minąłem gospodarstwo sąsiada i czarne myśli znów wróciły. Dom przybliżał się z każdym krokiem i robiło się coraz chłodniej. Zatrzymałem się na chwilę. Wyjąłem z kurtki wełniane rękawiczki i nałożyłem je na sztywne od zimna dłonie. Znów zacisnąłem je na kierownicy roweru i choć było mi cieplej, czułem większy niż przedtem dyskomfort. Rzadko nosiłem rękawiczki. Wydawało mi się, że kolorowa włóczka zmieniała mnie w kogoś, kim nie byłem. Lubiałem te swoje długie, cienkie palce i bladą skórę, przez którą prześwitywały drobne niebieskie żyłki. Przejeżdżając palcem po wąskich, podłużnych zadrapaniach pokrywających moje dłonie – śladach czynów, których się dopuszczałem, by powstrzymać ciemność – zawsze zastanawiałem się: czy te ręce należą do potwora czy bohatera? Ruszyłem dalej, wbijając wzrok w majaczący na końcu drogi dom. Szedłem z mętlikiem w głowie i pustką w sercu po stracie Astry, za to nadal bez dobrego pomysłu, co powiedzieć ojcu. Rozmyślałem, czy udać, że zamknąłem psy i przeciągnąć Astrę do szopy, czy lepiej od razu kłamać, że zwierzęta same z niej uciekły. Nawet z opóźnieniem spowodowanym przebitą oponą powinno zostać mi około piętnastu minut na realizację pierwszego planu. Ojciec zawsze wracał później ode mnie. Może uda mi się odnaleźć Brutusa? Miałem dobre przeczucia i nie traciłem nadziei, że psisko jeszcze zjawi się w domu. Może już siedzi na ganku i wyżera mięso z miski, pomyślałem, by zaraz żałować, że nie schowałem jedzenia na altanie.

Brutus jednak nie powrócił. A kiedy dotarłem na miejsce, usłyszałem buczenie bydła. Zwierzęta były niespokojne. Karmione rano i wieczorem, o jedzenie dopominały się zawsze, gdy ktoś chodził po podwórku. Zostawiłem rower przy furtce i poszedłem w kierunku szopy, najciszej jak potrafiłem. Tam znajdowało się mnóstwo narzędzi, którymi – w razie potrzeby – mógłbym się obronić. Możliwe, że krowa albo byk po prostu zerwał łańcuch i narobił zamieszania, a było to prawdopodobne, szczególnie po moim ostatnim łgarstwie – zmyślone historyjki lubią się urzeczywistniać. Ja jednak, nie wiadomo dlaczego, wmówiłem sobie, że to truciciel psów przybył dokończyć robotę. Nogi drżały mi, jakbym stąpał po kruchym lodzie. Jeden nieuważny krok mógł mnie zdemaskować przed złoczyńcą i sprowadzić katastrofę. Całe życie przygotowywałem się do walki ze złem. Nadal nie byłem gotowy. Nie potrafiłem nawet zapanować na walącym w piersi sercem. Miałem wrażenie, że jego głośnie bicie odbija się echem po pustym podwórzu. Zakradłem się od tyłu, okrążając szopę, ale gdy stanąłem przed jej wejściem, zamarłem. Drzwi były uchylone, a ze środka dobiegały metaliczne dźwięki. Ktoś przeszukiwał pomieszczenie. Wstrzymałem oddech, przerażony, że intruz

zaraz mnie usłyszy. Powinienem uciekać, skryć się w domu, zabarykadować drzwi, lecz nie mogłem się ruszyć. Ciało odmówiło mi posłuszeństwa. Tylko stałem i czekałem, kiedy nagle drewniane drzwi otworzyły się na całą szerokość, a przede mną stanął wysoki mężczyzna ubrany w grubą kurtkę podszytą futrem. W ręce trzymał szpadel.

– Spóźniłeś się – powiedział.

Patrzył na mnie badawczo jednym okiem, gdyż drugie zasłaniała przewiązana przez głowę czarna opaska. Spojrzałem wprost w to jedno ciemne niczym noc oko, starając się jak najszybciej zmasać z twarzy ślady strachu, który tak bardzo chciał ze mnie wypłenić. Drżały mi ręce. Piekły stare blizny. Wiedziałem, że dzisiejszego wieczora mi ich przybędzie. Przybywało zawsze, kiedy nie walczyłem ze swoimi słabościami.

– Miałem flaka w oponie – odparłem po chwili, z trudem, bo gęsta ślina skleiła mi podniebienie.

Czarna tęczęwka samotnego oka przesywała mnie na wylot. Ojciec śledził każdy mój ruch, wyłapując najśłabsze nawet drgnięcie powiek, warg, dłoni, wsłuchiwał się w wypowiedane słowa, by odnaleźć w nich choć nutkę fałszu. Dzięki ćwiczeniom stałem się zręcznym kłamcą, a on jeszcze lepszym tropicielem. Odczytywał moje myśli i uczucia, jakbym miał je wypisane na twarzy. „Jestem szkolnym frajerem” – widniało na czole. „Nie zamknąłem psów. Astra zdechła” – wyśpiewywały prawdę napięte policzki. Nie musiałem nic mówić, przeczuwałem, że ojciec wie wszystko. Nie myliłem się. Powiedział, że widział Astrę i nie mam myśleć, że będzie tolerował takie niedbalstwo.

– Nakarmisz króliki i bydło, a ja wykopię dziurę. To była posłuszna bestia – rzekł. – Nie powinna gnić na polu, szarpana przez dzikie zwierzęta. Tutaj jej miejsce.

– Tato, skąd wiedziałeś, że coś się stało? Dlaczego wróciłeś prędzej? – wypaliłem, gdy już odwrócił się plecami i chciał odejść.

– Tłumaczyłem ci. Nadchodzi ciemność, powoli zagarniając wszystko, co poddaje się jej woli. Czuję ją każdą komórką mojego ciała. Widzę ją tym jednym okiem, które mi zostało. Czai się w zwierzętach, ludziach, w ich spojrzeniach, w ich duszach. Czeka, by uderzyć, kiedy stracisz czujność. Mówiłem, że jeśli dobrze się przypatrzysz, też ją zobaczysz – oznajmił i odszedł.

Nie cierpiałem, gdy wypowiadał się tak zawile. Posiadał szósty zmysł, nie wątpiłem w to. Już nieraz udowodnił, że wyczuwa więcej niż zwykli ludzie: zjawiając się na górze przy lesie, kiedy pewnej zimy złamałem nogę, albo na polu późną nocą, jak próbowałem uciec z domu. Przeczucie podpowiadało mu, co robić. Ja nie miałem takiego daru, musiałem ślepo wykonywać rozkazy i słuchać, kiedy mówił, że dni naszego świata są policzone i jeśli można

to jakoś powstrzymać, to tylko przez bezwzględną walkę z postępującym skażeniem wszystkich żywych istot.

Poszedłem przebrać się w ubrania, w których na co dzień pracowałem. Trzymałem je na altanie, bo zalatywały potem i zwierzęcymi odchodami. Pranie było jednym z obowiązków, których nie cierpiałem bardziej niż smrodu. Szkolny worek wrzuciłem do kuchni i znów wyszedłem na podwórko. Metalowym wiadrem, które stało przy oborze, nanosiłem bydłu kiszonki, a potem przytargałem ze stodoły snopek siana. Krowy od razu zajęły się powolnym przeżuwaniami każdego kęsa, choć czułem, że jednym okiem mnie obserwują. Byki zaś bardziej ostentacyjnie pokazywały swoją niechęć. Ufały tylko ojcu, ja byłem jedynie okazjonalnym zastępcą, którego obecność z konieczności tolerowały. Nieźle musiałem się nagimnastykować, żeby dostać się do ich paśnika, unikając wymierzanych mi kopniaków. Wróciłem do stodoły po ziemniaki i kilka buraków, które chciałem dać królikom, i usłyszałem, że miarowy odgłos szpadła wbijanego w ziemię w końcu ustał. Ojciec wykopał dół i teraz przeciągał Astrę na miejsce jej wiecznego spoczynku. Wyobraziłem sobie, jak czarna ziemia zakrywa po kolei każdą część psiego ciała – wchodzi między grube futro, zasłania kochaną mordkę, zatyka sterczące uczy, zasłania zakręcony ogon – i po chwili Astra znika, tak jakby nigdy jej nie było. Już więcej jej nie zobaczę. Nie wskoczy mi na kolana. Nie pociągnie za nogawkę spodni, żeby się pobawić. Nie dotknie ręki swoim mokrym nosem, uświadomiłem sobie, a jakieś niewidzialne, lodowate dłonie ścisnęły mi tchawicę.

– Żegnaj, psinko – wydusiłem z siebie, starając się powstrzymać łzy.

Wstydzilem się, że znów nie potrafię kontrolować emocji. Maszerując do ustawionych w rzędzie klatek, spojrzałem w kierunku sadu ostatni raz. Uspokój się. To tylko pies – rozkazałem sobie, stawiając na ziemi wiadro. Postanowiłem skupić się na robocie. Po kolei otwierałem kolejne drzwiczki, by nakarmić wygłodniałe bestie, a gdy je zamykałem, słyszałem królicze nóżki kicające w stronę jedzenia. Na końcu zajrzałem do Pusi, wielkiej króliczycy albinoski, w gnieździe z puchu ukrywającej młode. Teraz była trochę agresywna, nadwrażliwa na punkcie dzieci, jak każdy świeżo upieczony rodzic, ale zanim się okociła, pozwalała głaskać swoje puszyste białe futerko. Bardzo lubiłem to robić do chwili, gdy ojciec zobaczył w jej czerwonych oczach ciemność. To zawsze przychodziło niespodziewanie i wiązało się z bólem. Przyznaję, że do okaleczonych krów i byków już się przyzwyczailem. Z czasem do wszystkiego można przywyknąć. Patrzenie na jednookie króliki też nie było łatwe, ale tylko na początku. Jednak nic mnie tak nie poruszyło jak widok oślepionej Pusi. Była najłagodniejszym stworzeniem, jakie mieliśmy, dlatego z taką trudnością dostrzegałem ukrywające się w niej zło. „Pewnego dnia przejrzysz na oczy, zobaczysz wszystko

i zrozumiesz” – tłumaczył mi ojciec, kiedy nie potrafiłem oderwać wzroku od dwóch pustych oczodołów, teraz już porośniętych sierścią, w których kiedyś znajdowały się żywe, lśniące oczy. Gdy na polecenie ojca zbliżałem się do niej z rozżarzoną prętą, odbijała się w nich moja zniekształcona twarz. Ciągle ją tam widzę – swoją przeklętą twarz – w wypalonych króliczych oczach. To od nich zaczęła się moja męka. Coś we mnie pękło. Ojciec to dostrzegł i chciał naprawić, póki nie było za późno, póki mnie też nie pochłonęła ciemność. Coraz częściej przywoził do domu schwywane zwierzęta, mające wyleczyć moją słabość. A one, nawet po wszystkim, nie dawały mi spokoju. Przychodziły do sypialni na górze, chowały się pod łóżkiem, a potem przez całą noc skamlały, piszczały, wyły z bólu i pazurami drapały moje bezwładne ręce. Wierciłem się, szarpałem, wyrywałem, lecz nigdy nie mogłem uciec, nie mogłem się obudzić. Dopiero gdy głowa pękała mi od jęków tych najgorszych, rozszarpywanych przez psy, nadchodził ranek.

Zamknąłem klatkę Pusi, starając się na nią nie patrzeć, wyprostowałem się i już chciałem zanieść wiadro, kiedy ciszę przerwał warkot silnika. Z garażu na podwórko wyjechał duży fiat ojca. Dwie smugi światła z okrągłych reflektorów przecięły szarość zimowego popołudnia.

– Napal w piecu – polecił mi, przesuwając ciężką metalową bramę.

Wiedziałem, co to znaczy i o który piec chodzi. Stałem na skraju zwirowego podjazdu i patrzyłem, jak żółty samochód sunie polną drogą, zostawiając za sobą chmurę pyłu. Poczułem ból w żołądku, znajomy dławiący ciężar, który pojawiał się za każdym razem, gdy ojciec wyruszał na poszukiwanie ciemności. Na rozdygotanych nogach wróciłem na podwórko. Serce galopowało mi w piersi i miałem wrażenie, że zaraz wyskoczy mi przez gardło. Czułem, że się duszę. Proszę, nie dziś, powtarzałem cicho, jakby było to jakieś magiczne zaklęcie mogące przebłagać okrutny los. Na przekonanie ojca, aby odpuścił mi ten jeden raz, w dniu śmierci Astry, nie miałem co liczyć. Dla niego to była misja, a jej cel najważniejszy, niezależnie od okoliczności. „Jesteśmy bohaterami, którzy walczą z ciemnością” – mówił, ale ja nie czułem się bohaterem, nie przy istotach, które posyłałem w mrok, by uchronić przed nim ziemię. To moje ofiary błądziły w bezkresnych ciemnościach, by inni mogli żyć w świetle. W swoich oczach nie byłem bohaterem, a katem. Dopuszczałem się potwornych czynów w imię większego dobra, zatem zbrodnie nie obciążały mojego sumienia, choć za każdym razem okropnie przerażały.

Nogi same poniosły mnie do sadu i stanąłem nad grobem Astry, niewielkim kopczykiem ziemi niedbale uklepanym szpadlem. Leżała tuż pod moimi stopami, w ciemności. Czy tak właśnie wygląda śmierć? – zastanawiałem się. Cały świat tak blisko, na

wyciągnięcie ręki, kiedy ślepy błądzisz w ciemnościach. Męki Tantalą – westchnąłem, przypominając sobie opowieść o mitycznym księciu. Cierpiał głód, nie mogąc dosięgnąć owoców rosnących tuż nad swoją głową. Pomyślałem o Pusi i o wszystkich innych zwierzętach, które oślepiłem. Czy skazałem je na śmierć za życia? Sam strasznie bałem się ciemności, bo wtedy przychodziły koszmary, o stokroć gorsze od tego, co działo się za dnia. Przeczuałem, że kiedyś się nie obudzę i pewnej nocy zostanę tam na zawsze – oprawca ścigany przez rozwścieczone ofiary. Wiedziałem, że mój czas nadejdzie i tak jak ojciec założę na twarz czarną przepaskę. Zło przychodzi po każdego, pomyślałem.

Zapadał zmrok, a coś błyszczało w trawie. Skierowałem się w stronę zimującego między drzewami pługa, schyliłem się i podniosłem rzucony przez ojca szpadel. Wszystko wskazywało na to, że bardzo się spieszył. Już chciałem odejść, kiedy coś przykuło moją uwagę. Spojrzałem na płot, w wyrwie między deskami prześwitywała zaorana ziemia z sąsiedniego pola. Wyłamana sztacheta leżała obok. Wydawało mi się, że płot był cały, gdy szukałem psów, ale widocznie z nerwów nie zauważyłem luźnej deski. Ojcu jednak nie umknęła. To tędy Brutus nawiał, stwierdziłem i aż zeszło ze mnie całe powietrze. Była nadzieja, że pies się znajdzie, a co najważniejsze: ojciec pojechał go szukać. Pobiegłem do domu i omijając starą kafłową kuchnię, zszedłem do piwnicy. Otworzyłem wielki stalowy piec, wygarnąłem popiół, a potem zapełniłem go po brzegi drewnem. Po trzeciej próbie rozpalenia cienkie kawałki, które położyłem na wierzch, zajęły się ogniem. Usiadłem na brudnej podłodze, wsłuchując się w trzaski palącego się drewna. Płomień rósł w siłę. Przez uchylone drzwiczki, obserwowałem, jak tańczy na równo pociętych kawałkach sosny. Stawał się coraz większy i jaśniejszy. Burczało mi w brzuchu. Byłem wygłodniały jak dzikie zwierzę, ale nie potrafiłem odejść od pieca, od jego żaru i ciepła.

Ojciec wrócił, jak było już całkiem ciemno. Na ganku zapaliłem lampę. Noc była chłodna. Czulem ukłucia zimna na policzkach i gryzący dym w gardle. Z komina wylatywały gęste opary przesłaniające blade gwiazdy. Zadrzałem, kiedy ojciec otworzył bagażnik samochodu i wyrzucił z niego worek, który ciężko wylądował na ziemi. Wiedziałem, że w środku znajduje się Brutus – to, co po nim zostało.

– Przygotuj wszystko – powiedział ojciec, gdy zauważył, że stoję w drzwiach. Przerażliwy jęk próbował wyrwać się z mojej piersi, ale mu nie pozwoliłem. Zachowałem zimną krew. Wytłumaczyłem, że rozpałem tylko w centralnym. Ojciec przeklął moją głupotę i kazał pilnować samochodu. – Dzisiaj ja to zrobię – dodał, trzaskając drzwiami.

Wiedziałem, że zanim żelazo osiągnie odpowiednią temperaturę, zdążę przemarznąć do kości. Ojciec zawsze upierał się, co do czystości ognia pochodzącego z własnej roboty

pieca. Podeszedłem do samochodu. Okna z tyłu zaparowały. Przetarłem jedno ręką. Na szklanej powierzchni odbijał się mój cień. Dopiero potem go zobaczyłem, jak leży związany i zakneblowany na kanapie. Po grubych okularach, za którymi skrywały się niewielkie, niespokojne oczy, poznałem pana Andrzeja. Pociągnąłem za klamkę i otworzyłem drzwi. Sąsiad szamotał się i wydawał żalosne, gardłowe dźwięki. Rozwiązałem szmatę, która blokowała mu usta.

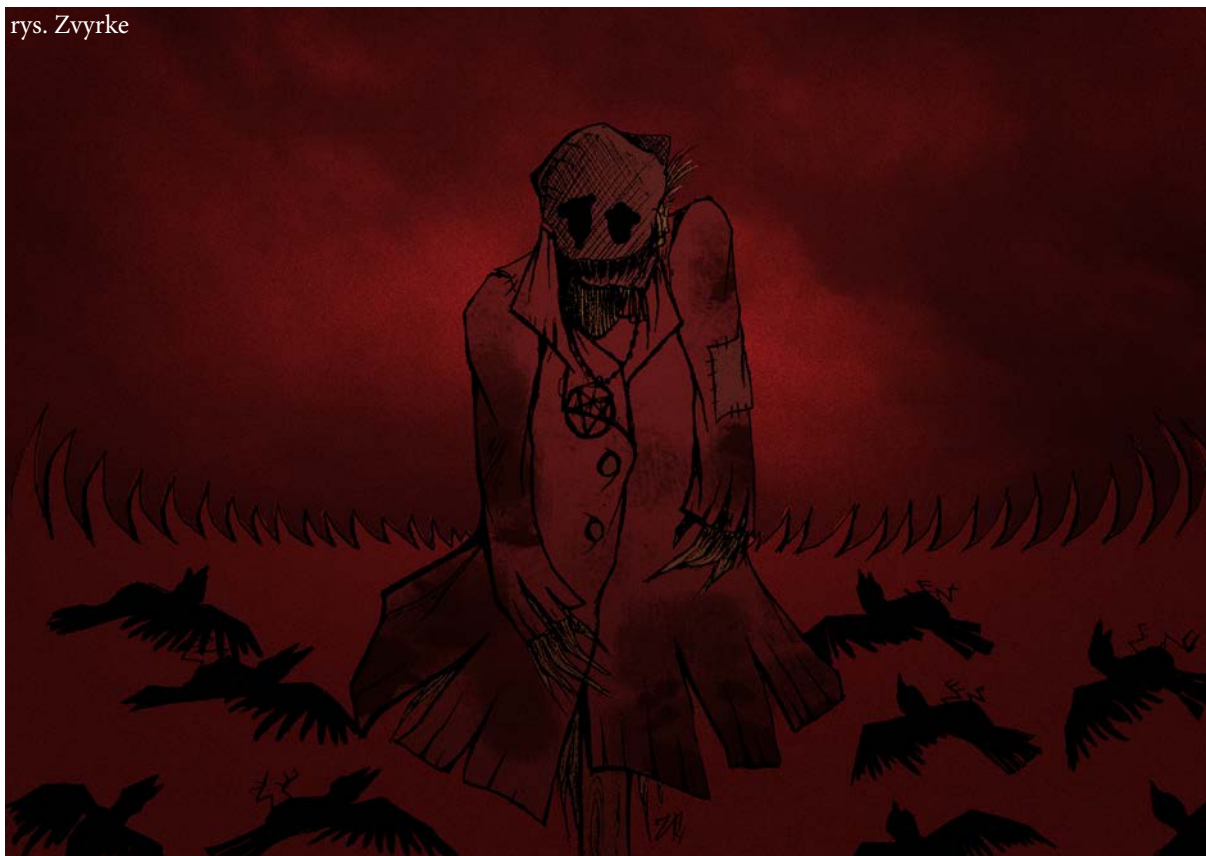
– Chciałem tylko dać nauczkę... Mięso teraz drogie jest... Przeklęty pies ciągle wynosił kury – mówił szybko i nieskładnie. Pierwszy raz słyszałem jego głos. Był dziwnie wysoki i piszczący. – Nie wiedziałem... To tylko głupie psy... Na co się pchały na moje podwórko.

– To pan je zabił? – nie dowierzałem. Zawsze wydawał mi się takim dobrym, spokojnym człowiekiem.

– Twój ojciec oszalał... Wierzysz mi, Pawełku?... Oszalał – powtarzał.

To był impuls. Złapałem za gruby sznur, którym obwiązane były nadgarstki leżącego przede mną człowieka i zacząłem go rozplątywać, wyobrażając sobie, jak ucieka przed ojcem wąską, żwirowaną drogą i nigdy nie wraca – tak jak ja w swoich marzeniach. Jednak gdy tylko rozwiązałem supeł, a oswobodzone dłonie zaczęły zbliżać się do mojej szyi, zobaczyłem to, co znałem jedynie z ojcowskich opowieści – błyszczącą, czarną niczym świeży tusz otchłań zrodzoną z samotności, odrzucenia i smutku – która wypełniła oczy mojego sąsiada, jak tylko poczuł nade mną przewagę. Odskokczyłem do tyłu i boleśnie upadłem na ziemię. Na ganku usłyszałem wrzaski ojca. Poczułem dziwne podniecenie. Podniosłem się, czując się silny jak nigdy przedtem, a kiedy zjawił się przy mnie ojciec z rozżarzoną do czerwoności prętą, krzyknąłem:

– Tato, ja to zrobię!



DAROWANEMU KONIOWI ZAGLĄDA SIĘ W ZĘBY

Bohdan Waszkiewicz

I

Pokryty białym tynkiem dom miał spadzisty dach, na którym falowały w porannym słońcu czerwone dachówki. W przylegającym do budynku i ogrodzonym drewnianym płotem sadzie stał Strach na Wróble. Umiejscowiony pomiędzy jabłonią a gruszą miał dobry widok na posypany żwirem placyk.

– Jabłońscy jadą na pole – mruknął Strach, spoglądając na krzątającą się rodzinę. – Są żniwa, więc nie będzie ich przez cały dzień, a dzieciaki pewnie pójdą bawić się do sąsiadów.

Dzień jak co dzień – podsumował.

Igor różnił się od innych strachów na wróble, o czym świadczyły dwa martwe ptaki leżące obok niego. Nawet Jabłońscy podczas zbiorów warzyw i owoców starali się nie patrzeć na stracha, a tylko ukradkiem zerkali od czasu do czasu w jego stronę, by potem szybko odwrócić wzrok. Igora bali się wszyscy oprócz grubego kota Bękart, który notorycznie załatwiał swoje potrzeby w pobliżu strażnika sadu. Strach na Wróble bardzo tego nie lubił, lecz nic nie mógł zrobić; jako wykwalifikowany łowca ptaków nie był w stanie wyrządzić krzywdy innym stworzeniom. Bękart zdawał sobie z tego sprawę i – co gorsza – wykorzystywał ten fakt z premedytacją. Inni nie posiadali owej wiedzy, więc omijali Igora szerokim łukiem. Jabłońscy przechodzili nad tym do porządku dziennego, chwając sobie najlepsze zbiory owoców w okolicy. Zarabiali krocie, szybko stając się jedną z najbogatszych rodzin w regionie. Banknoty skutecznie przesłoniły im widok martwych ptaków pojawiających się w ogrodzie.

Pięć lat wcześniej do wsi zawitał cygański tabor. Mieszkańcy osady zgodnie odmówili im postoju na swoich posesjach, bojąc się straty kur lub jajek. Tylko Jabłońscy pozwolili pozostać Cyganom przez kilka dni na placu obok domu, z czego przyjezdni chętnie skorzystali i bez żadnych ceregieli szybko rozbili obóz.

Któregoś dnia pan Jabłoński żalił się podczas rozmowy z przywódcą Cyganów, że zbiory owoców nie wyglądały najlepiej.

– Wszystko przez te cholerne szpaki, gawrony i wróble – mówił otyły i lekko łysiejący mężczyzna. – Nie wiem, co zrobić, żeby się tej świergoczącej hołoty pozbyć. – Rozłożył bezradnie ręce.

Szero Roma – dużo niższy, ale równie gruby jak przedmówca – pokiwał ze zrozumieniem kudłatą głową i obiecał coś temu zaradzić. Gospodarz zbył cygańskie zapewnienia milczeniem, nie biorąc ich na poważnie.

Wkrótce tabor opuścił gościnne progi. Zaraz potem właściciele posiadłości doliczyli się braku trzech kaczek, pięciu kur i jednej gęsi, a w kurniku znaleźli krótki list, przybity do drzwi cienkim gwoździem.

Jabłoński zerwał pogniecioną kartkę papieru i zerknął na nierówno postawione litery: „Dziękujemy za gościnę. Zostawiamy prezend. Jak co się stanie to dzwąćcie 0502345987”.

– Masz, poczytaj sobie. – Podał świstek zaciekawionej małżonce.

Szybko zapoznała się z treścią wiadomości.

– I co? Będziesz dzwonił? – zapytała po chwili szczupła kobieta, poprawiając dłonią ciemne włosy opadające na ramiona.

– A dajże spokój. – Podenerwowany machnął ręką. – Przecież wiadomo, że nic nie oddadzą. Ale przynajmniej coś zostawili po sobie. – Wskazał głową sad, w którym stała dziwaczna kukła.

Stracha na Wróble wykonano z parcianych worków wypełnionych słomą. Narzucono na niego brązową marynarkę, którą wcześniej cygańskie dzieci wyłowiły z pobliskiej rzeki. Na karku kukły dyndał łańcuch z przymocowanym doń metalowym pentagramem, a dzieło kończył – wyszyty dziwnymi znakami i pokryty obcym pismem – wysoki cylinder. Poza tym na worku imitującym twarz ktoś niezdarnie – jedno było znacznie większe od drugiego – namalował oczy oraz rozwartą gębę, w której widniały nieproporcjonalnie duże zęby. Stracha zamocowano na grubym drągu, a na nim, w pionie, czarnym tuszem napisano krótkie imię: Igor.

I tylko Cyganie wiedzieli, że był to fragment pała, na którym kilkaset lat temu umarł pewien gospodarz wołoski, powszechnie znany jako Vlad Dracula.

Igor, zapatrzonej w dom gospodarzy, ziewnął przeciągle. Nudził się. Żaden ptak, nawet mały wróbelek, nie pojawił się tego dnia w ogrodzie.

– A może by tak...? – Przyszedł mu do słomianej głowy szalony pomysł. – Dlaczego by nie?

Postanowił pod nieobecność gospodarzy zwiedzić ich mieszkanie. Doszedł do wniosku, że taka wyprawa może być niezwykle rozwijająca. W końcu po pięciu latach stania w jednym miejscu należało mu się to jak psu kość.

– Idę – oznajmił.

Cygański Strach na Wróble posiadał umiejętność poruszania się. Była to trudna sztuka, polegająca na podskakiwaniu drągiem, na którym umieszczono korpus. W ten sposób Igor czasem opuszczał nocą posterunek, aby ukryć ścierwa ptaków, kiedy nazbierało się ich zbyt wiele. Nie chciał straszyć gospodarzy rozmiarem swojej działalności, więc wyrzucał opierzone trupy do przepływającej opodal rzeki. Podczas przemieszczania się musiał uważnie wykonywać każdy ruch, żeby nie stracić równowagi i co za tym idzie, nie wyróżnić orła.

– Dla chcącego nic trudnego – dodał sobie otuchy, po czym wyskoczył wysoko,

wydobywając pal z ziemi.

Po chwili skakał wąską ścieżką, z każdym susem przybliżając się do celu wyprawy. Do domu wskoczył wejściem od strony ogrodu, bo wiedział, że gospodarze nigdy nie zamykali go na klucz. Gdy znalazł się w środku, na moment przystanął. Gdzieś w wypchanym słomą wnętrzu czuł ogromne podniecenie. Podobne objawy miał dwa lata temu, kiedy wystraszył na śmierć spacerującą po sadzie gęś.

Niestety, od tamtej pory Jabłońscy trzymali drób z dala od chwackiego Stracha.

– A szkoda – mruknął i uśmiechnął się na samo wspomnienie o gęsi padającej na zawał serca. – Ale to i tak nic w porównaniu z tym, co czuję dzisiaj – dodał zadowolony.

Przechadzał się, a w zasadzie przeskakiwał się po mieszkaniu. W kuchni zajrzał do garnka z zupą, nie mogąc odżałować, że konstrukcja Stracha nie pozwala na korzystanie z tego, co ludzie nazywają jedzeniem. W przeciwnym razie chętnie spróbowałby tłustej grochówki. Następnie, w największym z pokoiów, zainteresował go spory księgozbiór. Igor czuł się zawiedziony, że nie potrafił czytać, ale samo trzymanie jednego z dzieł sprawiło mu dużą przyjemność.

– Książki są takie... magiczne – szepnął wzruszony. – Są takie jak ja – podsumował z dumą w głosie, po czym odłożył *Cyberiadę* z powrotem na miejsce.

Właśnie skakał po szerokiej sieni, kiedy kątem oka spostrzegł jakiś kształt. Spojrzał w tym kierunku i natychmiast zamarł w bezruchu. Coś patrzyło na niego. Wlepiało w Stracha złowrogie czerwone ślepia, osadzone w głowie czarnej niczym bezgwiezdna noc. Bestia lewitowała tuż nad podłogą. Była ogromna i wyglądała jak skrzyżowanie bociana z oskubaną kurą. Z jej wielkiego łba wyrastał pomarańczowy dziób, z którego sterczały dwa rzędy ostrych zębów. Pozbawiony piór tułów falował w kilku miejscach, jakby coś żywego poruszało się tuż pod jego skórą. Z tej kupy mięsa wystawały dwie kończyny, a w nich potwór ścisnął malutkiego stracha na wróble. Do Igora dotarło, że zwisające z dziobu monstrem części materiału należały do trzymanej w szponach ofiary.

Strach na Wróble począł się trząść jak podczas wichury. Nie potrafił zebrać myśli. Przerażony miał w głowie wielką pustkę. Czuł w środku parzący ogień, jakby ktoś podpalił wypełniającą go słomę. Mógłby w tej chwili przysiąc, że widział dym wydobywający się spod podniszczonej marynarki. Zawładnęły nim lęk i bezsilność.

Tymczasem bestia dziwacznie zagulgotała, po czym zaczęła zbliżać się do Stracha na Wróble. Robiła to powoli, sycąc się jego przerażeniem. Rosła w oczach, czemu towarzyszył coraz głośniejszy szmer.

Igor wyrwał się z odrętwienia. Zacisnął słomiane dłonie z mocnym postanowieniem

działania.

– Tanio pala nie sprzedam – syknął wyzywająco.

Wyskoczył wysoko, a nawet zbyt wysoko, przez co uderzył cylindrem o sufit. Kiedy znalazł się w powietrzu, skierował drąg w oblicze monstrum i przypuścił atak.

Ostatnie, co zapamiętał, to głośny hałas oraz setki migających światełek. Potem upadł, a wszystko dokoła pogrążyło się w ciemności.

Niespodziewany opad deszczu sprawił, że gospodarze wrócili z pola wcześniej, niż planowali. Zmęczeni ciężką pracą na roli wkroczyli do domu.

– O Jezus, Maria – jęknęła pani Jabłońska, rozglądając się dookoła. – Co tu się stało?

– Co jest? – zapytał przemoczony do suchej nitki mąż, który wchodząc do mieszkania, myślał wyłącznie o ciepłej grochówce. – Czego marudzisz, babo?

– Zobacz. – Wskazała palcem źródło jej lamentów. – Ktoś wniósł do domu stracha na wróble i jeszcze rozbił lustro w drobny mak. W imię Ojca, Syna i Ducha. – Przeżegnała się. – Kysz, maro nieczysta!

– Przestań mi tu z tymi zabobonami, durna babo! – wrzasnął zdenerwowany mężczyzna, po czym zbliżył się do leżącej na podłodze kukły. Przyjrzał się jej uważnie, marszcząc krzaczastą brew i rzekł: – Dzieciaki pewnie stracha wykopały, a potem przyniosły do domu. A jak lustro zbiły, to dały drapaka. Ot co! Wiedzą dobrze, że lanie ich nie ominie. – Poprawił skórzany pas, trzymający przyduże portki na właściwym miejscu. – A lustro odpracują w polu albo w chlewie.

– A gdzie ja teraz takie lustro dostanę? – warknęła poirytowana. – Toż to jeszcze po babci.

– Pojedziemy do miasta, to w Ikei lepsze się kupi – parsknął zadowolony z pomysłu. Podrapał się po głowie, nie odrywając wzroku od stracha i dodał: – Kapelusz trzeba wyrzucić, bo jest spłaszczony jak latający talerz. Musieli nieźle przydzwonić, bo aż kija złamali. To nic. Przełoży się z tej szcnotki – spojrzał wymownie na małżonkę – coś ją miesiąc temu połamała. Będzie trochę cieńszy, ale powinien wytrzymać – ocenił.

– Może lepiej nie? – W głos Jabłońskiej wkradła się nutka wątpliwości. – Ludzie po wsi gadają, że nasz strach ptakom główki ukręca i krew ich pije.

– Trzymajcie mnie, pókim dobry! – Twarz mężczyzny zmieniła kolor na purpurowy. Na chwilę jego ręka ponownie dotknęła pasa. – To ty nie wiesz, głupia, że gadają tak

z zazdrości? A zresztą niech sobie pije nawet i bimber, byleby tylko owoców nie brakowało.

Oburzony rolnik podniósł stracha, po czym wyszedł na zewnątrz, po drodze trzaskając głośno drzwiami. Znalazłszy się na podwórku, skierował kroki do zbitej z desek szopy.

– A ten wisiołek, to se w traktorze powieszę – mruknął, ściskając w dłoni pentagram.

Strach na wróble stał samotnie pośrodku sadu. Nie miał imienia. Był tylko słomianą kukłą, nieporadnie odzianą w stare ubrania oraz z wełnianą czapą nasuniętą na głowę. Co jakiś czas przysiadły na nim ptaki, chętnie znacząc swój krótki pobyt ekskrementami. Gospodarze nie kryli niezadowolenia takim obrotem sprawy i coraz częściej przebąkaliwali o nowym strachu.

Tylko Bękart odczuwał radość. Leżał na parapecie i dla niepoznaki niewinnie oblizywał swoje łapki. A tak naprawdę zastanawiał się, którego ptaszka by tu dzisiaj capnąć?

II

Niewysoki, odziany w podniszczony drelich mężczyzna szukał wzrokiem czegoś w trawie. Miał pomarszczoną twarz oraz zaczesane do tyłu siwiuteńkie włosy. Rano zdechł mu pies, którego przed chwilą zakopał obok strzelistej wierzby. Brylecki doszedł do wniosku, że przydałoby się jakoś oznaczyć miejsce pochówku. Jakby nie było, wierny Murzyn spędził na łańcuchu prawie dwanaście lat. W tym czasie dobrze służył, informując szczekaniem o przechodzących w pobliżu obcych lub odstraszać lisy i łasice.

– Tyle lisów i łasic co on pognał – wspominał Brylecki, wciąż poszukując odpowiedniego przedmiotu do przyozdobienia mogiły Murzyna – to żaden pies nie pognał. Dobra to była psina.

Zauważył w pobliżu jakiś gruby drąg. Podniósł znaleźisko, po czym przyjrzał mu się uważnie. Pał był równo ociosany i wyglądał na solidny kawał drewna.

– Ciekawe, co to za drzewo? – pytał zaintrygowany, drapiąc się po czuprynie. – Jakby osika, ale pewności nie mam. A tam! – Wzruszył ramionami. – Co by to nie było i tak się nada.

Wyjął scyzoryk, po czym wyciął w drągu imię martwego psa. Potem wbił pał w miejsce pochówku czworonoga i zadowolony z dobrze spełnionego obowiązku ruszył w drogę powrotną.

Jabłoński usiadł w cieniu, oparłszy się plecami o jedną z brzoź. Wyjął ze skórzanej torby kanapkę, zawiniętą w foliową torebkę, oraz plastikową butelkę do połowy wypełnioną mętym płynem. Ujął w dłoń biały kubek, przyozdobiony napisem *Jurek*, po czym uśmiechnął się ciepło.

– Po kubeczku tak szlachetnego trunku zawsze lepiej robota idzie – mruknął z zadowoleniem, napełniając naczynie.

Nie chcąc tracić drogiego czasu, szybko wlał w siebie sześćdziesięcioprocentowy alkohol. Wykrzywił twarz w grymasie obrzydzenia, gdy zawartość kubka zniknęła w przełyku. Parsknął, trzęsąc na boki czupryną, i tupnął kilka razy nogą o kępkę pożółkłej trawy.

– Uch... mocny... – wyszeptał zachrypniętym głosem. – Nadaje się.

Po chwili, kiedy bimber przestał drażnić gardło, zajął się konsumpcją kanapki. Właśnie miał zębami pierwszy kęs, gdy nagle usłyszał warkot silnika.

Zamarł. Wybałuszył oczy i patrzył bez ruchu przed siebie.

– Co do dia... – wymamrotał.

Jego twarz błyskawicznie zalały strugi potu.

Zrozumiał, że to, co widział, działa się naprawdę. Błyskawicznie skoczył na równe nogi, po czym rzucił się do ucieczki. Biegł ile sił, zostawiając za sobą tuman kurzu. Pole, o którym zawsze mówił, że było za małe, w tej chwili wydało mu się nieskończenie wielkie.

Jabłoński słyszał za sobą coraz głośniejszy dźwięk silnika. Powoli zaczęło zapierać mu dech w piersiach. Czuł, że nie będzie w stanie długo utrzymywać tak szalonego tempa. To moja jedyna nadzieja, pomyślał. Zacisnął zęby i ostatkiem sił przyspieszył bieg, kierując się na pobliskie bagna.

Prześladowca nie odpuszczał. Z każdą sekundą przybliżał się do gnającego po niwie mężczyzny.

W nocy, kiedy księżyc znalazł się w pełni, coś przerażająco zawył, budząc trzeźwych mieszkańców wsi oraz wywołując panikę wśród bydła. Dźwięk z piekła rodem spowodował, że całe rodziny zaczęły zmawiać w pośpiechu pacierze, aby przegonić siłę nieczystą.

Jednym z wyrwanych ze snu był również Brylecki. Zlany zimnym potem powoli rozejrzał się po ciemnym pokoju. Najciszej, jak tylko potrafił, wstał z łóżka. Na palcach podszedł do okna, po czym przecesał wzrokiem ukryte pod płaszczem nocy podwórze. W jego głowie kołatała się nieprawdopodobna myśl.

– Murzyn? – wyszeptał.

Jakiś ciemny kształt próbował dostać się do stojącej w obejściu psiej budy. Warczał przy tym i szczyrzył kły lśniące złowrogo w świetle księżyca. Jeśli to był Murzyn, to swoją masę zwiększył czterokrotnie. Po kilku nieudanych podejściach zorientował się, że nie znajdzie sposobu, aby wejść do środka. Wściekły począł uderzać wielkimi łapami o daszek budy, aż w końcu zamienił ją w stos porzrzucanych desek. Potem zawył głośno, po czym kilkoma susami oddalił się, gnając niczym wichur w stronę lasu.

Brylecki po omacku dotarł do kuchni. Bał się włączyć światło. W białym kredensie, który pamiętał jeszcze czasy rządów Gomułki, namacał jakiś przedmiot.

– A już dwa dni nic nie pił... – jęknął z żalem, by po chwili zębami wyciągnąć z butelki plastikowy korek.

Zaczytany w *Psie Baskervillów* nawet nie zauważył, że jest bardzo późno. Sięgnął po stojącą na stoliku szklanekę, po czym upił łyk dawno wystygłej herbaty. Oderwał wzrok od lektury i spojrzał na ścienny zegar.

– Trzeba iść spać – wymamrotał z żalem, poprawiając okulary. – Szkoda. Taka interesująca powieść.

Szybko – zgodnie z regułami mola książkowego – doczytał do końca rozdział. Potem wstał z fotela i odłożył dzieło na półkę.

Aż podskoczył, kiedy do jego uszu wdarły się wysokie dźwięki. Zdziwiony wyteżył słuch. Świnia, wydedukował. Kwilenie stawało się coraz głośniejsze, aż w końcu umilkło, jak nożem uciął.

Po krótkim namyśle ruszył do drzwi.

Powoli wyszedł przed dom. Zrezygnował z włączenia latarki, gdy okazało się, że blask księżyca doskonale oświetlał obejście. Zatrzymał się w połowie drogi do chlewa. Z niewielkiego budynku dobiegał dziwny hałas. Coś warczało.

Gospodarz zauważył, że drzwi zostały rozbite na drobne kawałki. Coś silnego musiało tam wejść. I dużego, pomyślał.

Nie wiedział, co robić. Wyobraźnia podpowiadała mu, żeby – wzorem Sherlocka Holmesa – wtargnąć do środka i co by tam nie było, zastrzelić z rewolweru. Ba! Ale skąd wziąć rewolwer?

Z kolei zdrowy rozsądek sugerował wycofanie się do domu.

Po cichu, na palcach, zawrócił. Przekroczywszy próg mieszkania, zamknął drzwi na zamek, a potem dodatkowo zablokował komodą.

– Szkoda, że nie mam telefonu – żałował. – Wezwałbym policję.

Zasiadł w fotelu. Tkwił w nim dopóty, dopóki zza horyzontu nie wyjrzało poranne słońce.

– ... i musisz zrobić coś z tym – mówił zdenerwowanym tonem Brylecki. – Nie może być tak, że coś po wsi biega i kury i kaczki dusi. A panu Mietkowi – wskazał głową mężczyznę siedzącego obok niego – to nawet świnie rozszarpało i zeżarło połowę.

– Ja to rozumiem. – Zgodził się Jabłoński. – Tylko nie wiem, czego chcecie ode mnie? A co to moja wina?

– A pewnie, że twoja! – krzyknęła piskliwym głosem Goliszewska, włączając się do rozmowy. – Jak tylko się tego stracha pozbyłeś, to jakiegoś diabła przywołałeś, co teraz po wsi biega. – Niska brunetka o włosach przystrzyżonych na wysokości uszu przeżegnała się szybko. – W imię Ojca i Syna...

– Strach z domu po zmroku wyjść – wtrącił jej mąż. Był o głowę wyższy od żony, a jego blond czupryna sterczała na wszystkie strony niczym kłosa zboża po gwałtownej burzy. – Bo jak to coś zakatrupiło świnie, to i człowieka może.

– Narobił ty gnoju, to teraz go zbieraj! – dorzucił Brylecki.

Pod drewnianą wiatą, na przeciwko domu Jabłońskich, siedziało kilku mieszkańców wsi. Głośno debatowali, czasem przekrzykując się nawzajem. Pod spadzistym dachem przebywały dwa małżeństwa: gospodarzy i Goliszewskich, a oprócz nich Brylecki, obok którego spoczął pan Mieczysław. Ten szczupły mężczyzna, od kilku lat samotny wdowiec, słynął w miejscowości z mądrych rad, których chętnie udzielał potrzebującym. Jak również z tego, że jego celne opinie niejednemu pomogły rozwiązać poważne problemy.

– Spokojnie, drodzy sąsiedzi. – Pan Mieczysław próbował załagodzić wiejskie animozje. Poprawił duże okulary, które po chwili znowu zjechały na czubek nosa. – W ten sposób do niczego nie dojdziemy.

Na chwilę zapadła cisza. Gdzieś w oddali było słychać warkot ciągnika, zagłuszany czasem gęganiem gęsi biegających po podwórku obok wiaty. W końcu milczenie zebranych przerwał głos Jabłońskiej:

– Opowiedz im. No, gadaj.

Oczy zgromadzonych natychmiast wycelowały w gospodarza, który westchnął ciężko, po czym zaczął mówić:

– Coś jest nie tak z moim traktorem. – Wbił wzrok w ziemię i ciągnął dalej: – Wczoraj pojechałem nim na pole jak zawsze. Potem usiadłem pod drzewem, żeby zjeść kanapkę. I naraz słyszę, a tu traktor się sam zapalił! – Jabłoński zwrócił oblicze ku słuchaczom. – Przysięgam, w środku nie było żywej duszy. I łup! Rusza i jedzie na mnie! Rzuciłem kanapkę w trawę, a szkoda, bo ze świeżutkim salcesonem była, i dawaj: chodu! Biegłem chyba z kilometr... no, może pół. A on za mną gnał jak pies kunę. Na sam koniec wparowałem na bagna i to mnie uratowało. Traktor też wjechał i teraz tam stoi do połowy zatopiony.

– Więc ożył nie tylko pies szanownego sąsiada – pan Mieczysław wskazał dłonią Bryleckiego – lecz również coś dziwnego stało się z pańskim traktorem. Coś musi łączyć te dwie rzeczy. Pytanie tylko co?

– Ja tak sobie myślę – Jabłoński pogładził gęstą szczecinę pokrywającą jego twarz – że to przez ten wisior, co go miał strach, a potem w traktorze go powiesiłem. Tak właśnie myślę.

– Czy pan również założył coś na kark swojemu psu? – Pan Mieczysław zwrócił się do Bryleckiego.

– Nie, skąd! – zaprotestował. – Murzyn zdechł ze starości, zanim go tknął.

– Rozumiem – westchnął Pan Mieczysław, po czym dodał: – A co było potem? Spalił pan zwłoki, a może zakopał?

– Zakopał! A jak inaczej? – odpowiedział urażonym tonem głosu. – Spalić Murzyna? A co to ja, bezbożnik jaki? Potem mu mogiłę usypałem, tam po wierzbę. – Wskazał kierunek czarnym od brudu palcem. – A na sam koniec taki fajny kijek ja znalazł i wyrył kozikiem imię Murzyna. I to nie byle jaki kijek, bo to kawał drąga, z dobrego drewna.

– Takiej gdzieś długości? – Jabłoński powstał jak rażony piorunem, po czym rozłożył ramiona, prezentując ponad metrowy odcinek.

– No, gdzieś taki był... A co?

– To ten sam drąg, co strach na nim stał! – ryknął gospodarz, aż Goliszewska podskoczyła na ławce. – Wyrzuciłem go za stodołę, ale potem zniknął jak kamfora. Pewnie

dzieciaki wzięły do zabawy i poniosły gdzieś w cholere. To pewnie on ożywił Murzyna, tak jak mój traktor ożywiła gwiazda żydowska.

– Na pewno – zgodziła się Goliszewska. – Mama mi mówiła, że przed wojną Żydy polskie dzieci zabijały, żeby diabłu oddać ich duszyczki.

– Ekhhmm... – odchrząknął pan Mieczysław, którego matka nazywała się Steigman. – Wiemy już, jak doszło do tych wszystkich dziwnych zdarzeń. Teraz musimy się zastanowić, jak temu przeciwdziałać.

– Myślałem, żeby zadzwonić na policję – powiedział skruszony Jabłoński. – Tylko, co ja im mam gadać? Że mnie traktor po polu gania?

– Nie dzwoń do nich – przestrzegł Brylecki. – Ja tak zrobił, jak zobaczył Murzyna na podwórku. Mówię tak: Murzyn wielki jak cielak budę mi rozwalił. A potem milicjant powiedział w słuchawce, że jak jeszcze raz zadzwonię, to mnie na wytrzeźwiałkę odwiozą. A trochę ja wtedy wypił... Bo się wnerwił przez Murzyna – dodał szybko na usprawiedliwienie.

– Wszystko przez tych cholernych Cyganów... – mruknął pod nosem Jabłoński.

– I przez twoją chciwość i głupotę! – Goliszewska nie mogła przegapić takiej okazji na ciętą ripostę.

– A może do nich zadzwonić? – Niespodziewanie wtrąciła Jabłońska. – Przecież – spojrzała na męża – włożyłam ich numer do niebieskiej filizanki. Wiesz, tej, co w segmencie stoi.

– Na śmierć zapomniałem, że zostawili nam list. – Mężczyzna mocno palnął się otwartą dłonią w wysokie czoło, aż powstała na nim czerwona plama. – Idziemy do chałupy! – rzucił do małżonki.

– To my zaczekamy tutaj na informację od państwa – zaproponował pan Mieczysław.

Niedługo potem Jabłoński ponownie pojawił się pod wiatą. Miał ze sobą foliową torbę, w której zachęcająco dzwoniły butelki. Na jego twarzy pojawiło się uczucie ulgi, jakby ktoś zdjął mu z ramion ogromny ciężar. Usiadł między sąsiadami i uśmiechnął się nieznacznie.

– Zadzwoniłem. Opowiedziałem im wszystko. I o Murzynie, i o traktorze. Jurto mają przyjechać i załatwić sprawę.

– Świetnie – pochwalił pan Mieczysław, po raz wtóry poprawiając okulary.

– Tylko czy można Cyganom wierzyć? – zauważyła Goliszewska. – To złodzieje przecież.

– Na razie nie mamy innej możliwości, niż poczekać do jutra – odpowiedział pan Mieczysław. – A potem ewentualnie porozmawiamy.

– Drodzy sąsiedzi – rozpoczął uroczystym tonem Jabłoński. – Chciałbym was wszystkich przeprosić za kłopoty i serdecznie zaprosić na skromny bankiet. – Postawił na stole trzy litrowe butelki wypełnione bezbarwnym płynem.

– No, to się rozumie – podsumował rozpromieniony Brylecki. Wziął do ręki jedną z flaszek i przyjrzał się uważnie. – Bimberek?

– Mój najlepszy. – Przytaknął gospodarz. – Trzy razy przepuszczałem. Mocny jak diabeł, a do tego prawie nie śmierdzi.

Drzwi domu otworzyły się z piskiem i chwilę później do reszty zebranych dołączyła Jabłońska, przynosząc dużą tacę wyłożoną po brzegi wszelkimi rodzajami wędlin.

– Jeszcze bigos się grzeje – oznajmiła. – Zaraz doniosę.

– To ja pani pomogę – zaproponowała Goliszewska.

Wkrótce sąsiadki zmierzały do domu, po drodze trajkocząc jak najęte.

Zapał zmrok. Coraz bardziej pijani biesiadnicy bawili się w najlepsze, głośno krzycząc i prowadząc rozmowy, w których królowały tematy polityczne. Natomiast kobiety, zupełnie niezainteresowane sprawami poruszonymi przez pleć przeciwną, dyskutowały o kulinariach i nowym odcinku *Klanu*.

Nikt z nich nie zauważył dwóch czerwonych punktów od dłuższego czasu jarzących się między krzakami agrestu. Nikt nie zaobserwował też, że szkarłatne światła poruszyły się, a potem coraz szybciej poczęły zmierzać w kierunku uczujących. Otumanieni alkoholem i zajęci dyskusjami nawet nie spojrzeli na zbliżający się ku nim duży, czarny kształt. Ledwie widoczny w ciemnościach niemal bezdźwięcznie dotarł do rozbawionych ludzi.

Rozpaczliwe wrzaski przeszyły mrok nocy. Upiorne hałasy niosły się po okolicy, odbijając się echem między zabudowaniami oraz wkradając się w czerń rosnącego opodal lasu. Gdyby jakiś człowiek przebywał blisko domu Jabłońskich, pomyślałby, że właśnie obdzierają kogoś ze skóry. A potem wzięłby nogi za pas lub padłby na kolana i począł się modlić.

Po jakimś czasie przeraźliwe krzyki, jeden po drugim, ucichły.

Szczupły brunet, odziany w dopasowaną brązową marynarkę i niebieskie dżinsy, głęboko się zaciągnął przylepionym do ust papierosem.

– Co pan o tym sądzi, aspirancie? – zapytał.

– Totalna masakra, panie komisarzu – odpowiedział dosadnie, acz mało precyzyjnie krępy mundurowy.

Stali przed domem Jabłońskich. Wokół nich leżały fragmenty ludzkich członków, które ekipa specjalistów chowała do odpowiednich pojemników. Wiatę oraz niektóre części podwórka pokryły plamy zakrzepłej krwi, a na środku podjazdu leżała góra wnętrzności.

– Trzeba sprawdzić wszystkie przychodnie weterynaryjne. No i zoo. I jeszcze popytać o prywatnych hodowców, bo może ktoś trzyma w zagrodzie jakieś dzikie zwierzę – polecił komisarz.

– Myśli pan, że ktoś może trzymać jakiegoś wilka albo niedźwiedzia w chlewie? – powątpiewał młodszym i wiekiem policjant.

– Cóż... Kiedyś podczas prowadzenia śledztwa byłem w mieszkaniu prawie sześćdziesięcioletniej kobiety. Okazało się, że trzymała w pokoju pięciometrowego boa. Prezent od jakiegoś marynarza czy coś. To nieistotne. Co ciekawe, mieszkanie znajdowało się w jedenastopiętrowym bloku. Bywa, że ludzie trzymają w blokach małpy, legwany i nie wiadomo co jeszcze. Więc pomyśl pan, co można hodować w wiejskiej zagrodzie.

– Rozumiem. – Aspirant pokiwał głową. – Sprawdzimy wszystkich we wsi i okolicy.

– A potem, jak już... – przerwał na chwilę. – To znaczy... jeśli dojdzie do siebie, przesłuchać jedyne go świadka. Jak mu tam było?

– Brylecki, panie komisarzu – przypomniał mu. – Na razie jest pod opieką psychiatry. Też dziwna z nim sprawa. Jak go znaleźli, to w kółko powtarzał tylko jedno słowo: Murzyn.

– Hmm... – Komisarz zamyślił się. – Dziwne... Murzyn w tej zapadłej dziurze?

Niedaleko domu Jabłońskich, na polnej drodze, stał czarny mercedes. Podniszczony, z porysowanym zderzakiem i odrapanym lakierem wyglądał jak porzucony grat. Zaparkowany przy gęstych krzakach był zupełnie niewidoczny dla ludzi krzątających się po obejściu. Za kierownicą siedział Szero Roma, a obok kobieta o siwych włosach i przeoranej zmarszczkami twarzy.

– Spóźnił się – powiedział Cygan. – Sprawy się skomplikowały.

– Widzę. Zawsze kończy się tak samo – odparła sucho. – Nikt nie kazał im ruszać Igora. Sami napytali sobie biedy – zrobiła krótką pauzę, po czym skrzywiła usta w uśmiechu i dodała spokojniejszym tonem: – Ale przecież na to liczyliśmy, czyż nie? W każdym razie dobrze, że znaleźliśmy pal Drakuli i pentagram Leviego. Zaraz zakończę działanie pala.

Wyszła z samochodu, po czym zbliżyła się do bagażnika przymocowanego do dachu pojazdu. Na nim, obwiązany białym sznurem, leżał długi kołek. Staruszka przyłożyła dłoń do drąga, a po chwili poczęła coś mamrotać pod nosem. Kiedy zakończyła inkantację, zniknął wcześniej wyryty w drewnie napis.

– Gotowe – oznajmiła, wsiadając do auta. – Musimy jeszcze odzyskać cylinder Rockefellera. Nie wyczuwam tutaj jego obecności.

– To co zrobimy? – zapytał Szero Roma.

– Nic. Z czasem sam się znajdzie. Zawsze się znajdują.

Oboje wybuchli głośnym śmiechem.

Potem kierowca przekręcił kluczyk w stacyjce, zawrócił samochód i ruszył drogą, pozostawiając za sobą chmurę pyłu oraz smród oleju napędowego.

– Ten facet z miasta, u którego rozbiliśmy obóz, poprosił mnie o przysługę – rzekł Szero Roma. – Ma reumatyzm i jakieś bóle w plecach. Mówi, że nic mu nie pomaga.

– Bicz Markiza de Sade powinien pomóc. Ma coś cennego?

– Telewizor, samochód. I pewnie jeszcze coś się znajdzie – odpowiedział. – A co z traktorem? Chyba nie zostawimy go na bagnach?

– Jutro zbierz ludzi. Przyjedziemy i wyciągniemy go z błota.

– Zatrze się numery silnika, zmieni blachy – wyliczył Cygan. – I będzie traktor jak malowanie.

Później, kiedy przejeżdżali przez niewielki las, hałas wydawany przez samochód spłoszył kilka gawronów. Ptaki poderwały się do krótkiego lotu, a gdy auto zniknęło za zakrętem, wylądowały na skraju lasu i ponownie przystąpiły do uczty. Wbijały ostre dzioby w ściervo rozkładającego się psa, by zaspokoić głód nadpsutym mięsem.

Dwóch mężczyzn szło obok siebie po wielkiej górze śmieci. Wysypisko wznosiło się pośrodku pola, a dookoła nie było widać żadnego budynku mieszkalnego, poza dwoma barakami przeznaczonymi dla robotników. Odziani w szare kombinezony pracownicy

prowadzili rozmowę, jednocześnie uważnie przeczesując wzrokiem nagromadzone odpadki.

– A wiesz, że obecny właściciel chce sprzedać wysypisko? – zapytał dużo młodszy z nich.

– Ta, coś tam ja słyszał – odrzekł siwy jak gołąb mężczyzna.

– Księgowa mi mówiła, że będą redukcje etatów.

– Tfu! – Splunął zieloną flegmą, po czym przeciągnął językiem po zniszczonych zębach. – Zawsze tak robiom. A potem swoim robotę dajom.

– Trzeba będzie znowu pracy szukać... – mruknął niezadowolony drugi z rozmówców.

– Ta, tylko gdzie? Toż u nas bezrobocie jak diabli. Ty, to jeszcze młody jest, coś znajdziesz. Ale ja? Kto starego do roboty weźmie?

W milczeniu posuwali się powoli po szczycie odpadków. Myśl o rychłej utracie pracy popsuła im nastroje.

– Uuu! A co to za kapelutek ciekawy? Trochę zgnieciony, ale zaraz się go naprostuje – odezwał się starszy mężczyzna, podnosząc czarny cylinder. – Będę w nim wyglądał jak magik z cyrku. – Zaśmiał się głośno.

Bez większych ceregieli uderzył pięścią w znaleźisko, wypychając spłaszczoną część. Potem otrzepał z przedmiotu pył oraz kurz. Na koniec cylinder wylądował na jego siwej głowie.

– Kurde – bąknął młodszy. – W kapeluszu wyglądasz ze dwadzieścia lat młodziej.

Mężczyzna zaświecił spod nakrycia głowy nienagannie białymi zębami, po czym przemówił, patrząc gdzieś w dal:

– Muszę wziąć wolny poniedziałek. W weekend posiedzę nad papierami i zrobię odpowiednie obliczenia. Muszę przygotować bardzo dobry biznesplan. W poniedziałek pójdę do banku, aby porozmawiać o kredycie. Myślę, że przy dobrym przygotowaniu mam spore szanse, aby otrzymać pożyczkę. Czy masz prawo jazdy? – zapytał niespodziewanie towarzysza.

– No, tak... mam – wydukał mocno zaskoczony niespodziewaną zmianą w głosie interlokutora.

– Jak kupię wysypisko, to będę potrzebował kierowcy. Przynajmniej dopóki nie zaliczę egzaminu na własne prawo jazdy. Nie wypada, żeby człowiek interesu jeździł autobusem – wyjaśnił, skrobiąc się paznokciami po karku.

Poruszali się po stromym zejściu, idąc w stronę baraków stojących u podnóża góry śmieci. Starszy z nich, drapiąc się bez przerwy po szyi, objaśniał coś drugiemu, który ze zdziwieniem wymalowanym na bladej twarzy kiwał głową.

– Śmieci to dobry interes. Jeśli ktoś twierdzi inaczej, to albo brak mu przygotowania merytorycznego, albo po prostu nie mówi prawdy – zakończył mężczyzna w cylindrze, po czym obaj skierowali kroki do jednego z kontenerów.

Kiedy wchodzili do pomieszczenia, z niewielkiej rany na karku starszego robotnika spłynęła strużka krwi wymieszana z ciemną wydzieliną ropną.



rys. Roman Panasiuk

NOC ZADUSZNA

Joanna Martyna Turchan

Był już późny wieczór, dobrze po dwudziestej trzeciej, kiedy Adrian wracał do domu. Słabo oświetloną drogę przecinały cienie wysokich krzewów. Księżyc również niewiele pomagał, co rusz zasłaniany chmurami, leniwie pełznącymi po ciemnym niebie.

Mimo tego Adrianowi nie przykrzył się spacer. Ciepła noc, szczególnie jak na początek listopada, nie wzbudzała w nim żadnym obaw. Chodził tą drogą odkąd... w zasadzie to odkąd w ogóle nauczył się chodzić, czyli od jakichś dwudziestu trzech lat. Kroczył powoli, delektując się jedną z ostatnich tak przyjemnych nocy tego roku. Był pewien, że niedługo zaczną się pierwsze przymrozki i szczerze powiedziawszy, dziwiło go, iż jeszcze się nie

pojawiły. Zwykle na Wszystkich Świętych lubiło sypnąć śniegiem, a tu proszę – Dzień Zaduszny i można urządzać sobie nocne przechadzki, nie odmrażając przy okazji uszu.

Pomyślał, że gdyby na cmentarz nie znajdował się tak koszmarnie daleko, to chętnie by tam zajrzał. Jeszcze raz odwiedziłby dziadka i nacieszył oczy widokiem mnóstwa migoczących, kolorowych światełek. Wczoraj, zresztą jak co roku, wybrał się tam po zachodzie słońca, ale wówczas miał samochód. Marsz na cmentarz parafialny, znajdujący się dwie wsie dalej, nie stanowił w tej chwili szczytu marzeń, więc chłopak szybko zapomniał o tym pomysle. Zaczął myśleć o spotkaniu z kumplem, które zakończyło się ledwie kwadrans temu. Z Mikołajem przyjaźnili się od dziecka, ale teraz studiowali w innych miastach i widywali się tylko wtedy, kiedy obaj zjeżdżali do rodzinnej miejscowości. Tego wieczora usłyszał, że przyjaciel zamierza się oświadczyć. Uśmiechnął się na wspomnienie, jak – jeszcze nie tak dawno temu – Mikołaj zwykł mawiać, że nigdy nie da się zrobić w małżeństwo. Wyglądało na to, że powiedział te słowa o raz za dużo i los postanowił uświadomić mu, jak mało w tym względzie zależy od niego.

Nagle coś wytrąciło Adriana z rozmyślań. Miał ochotę przystanąć, ale tylko zwolnił, podczas gdy jego wyostrzone zmysły poszukiwały zmiany, która tak go zaniepokoiła. Znieruchomiał, kiedy uświadomił sobie, że jego kroki są jedynym odgłosem słyszalnym na ulicy. Wiatr już nie poruszał zeschniętymi liśćmi pozostałymi na drzewach, a psy przestały na niego czekać i wszystkie schowały się w budach. Żadne stworzenie nie szeleściło w trawie. Zupełnie, jakby świat na chwilę wstrzymał oddech.

Adrian rozejrzał się po oknach budynków. W kilku z nich błyskał telewizor, w dwóch świeciło się światło, reszta była zupełnie ciemna. Niby nie działo się nic niezwykłego, ale mimo to chłopak czuł, jak wszystkie jego mięśnie się spinają – jakby czekały na gwizdek startowy, który pozwoli im działać.

Daleko przed nim zadrgało światło lampy ulicznej, ale uspokoiło się tak szybko, że mógłby rzucić to na karb zwykłego przywidzenia. Zły na samego siebie pokręcił głową i już miał ruszyć w dalszą drogę, gdy ta sama lampa znów zgasła, lecz tym razem nie zapaliła się od razu. Adrianowi wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim żarówka na nowo się rozjarzyła. Chłopak poczuł niemiły skurcz żołądka, ponieważ przez chwilę był zupełnie pewien, że w ciemnym polu przed nim poruszał się jakiś kształt. Jak sądził, winę za to mogła ponosić jego nazbyt bogata wyobraźnia. Przecież wiedział, że droga jest pusta, a lampa po prostu się przepala. Przez jego głowę przeleciała myśl, że obejrzał stanowczo za dużo horrorów i nie ma się czego bać – jednak nadal nie był w stanie się poruszyć. Wpatrywał się w ciemność, by znów dostrzec tajemniczy kształt. Nie było to łatwe: lampy ustawiono

w dużych odległościach, a następna w kolejności od dawna nie działała, więc między dwiema zapalonymi tworzyła się duża nieoświetlona strefa.

Adrian zirytował się, że tak długo zwleka. Gdyby od razu poszedł dalej, jedynie kilka minut dzieliłoby go w tej chwili od domu.

– Weź się w garść, chłopie! – ofuknął samego siebie – Ile ty masz lat? Trzy czy dwadzieścia trzy?

Po tej krótkiej mowie motywacyjnej zacisnął pięści i ruszył przed siebie. Nie przeszedł więcej niż kilka metrów, gdy znów się zatrzymał. Światło kolejnej lampy zamigotało i na chwilę zgasło. Nim latarnia z powrotem się zapaliła, zgasła następna. Gdy trzecia z rzędu przestała świecić, pierwsza znów rozbłysła.

– Sto dwadzieścia jeden... – wyszeptał Adrian, gdy kolejna lampa się wyłączyła. – Sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy... – odliczał sekundy, zgodnie ze starym trikiem spadochroniarzy, którego nauczył go ojciec. Do tej pory mierzył w ten sposób tylko odstęp między błyskiem a grzmotem, by dowiedzieć się jak daleko jest burza. Teraz żołnierska sztuczka znalazła nowe zastosowanie.

Poczuł, jak mięśnie mu tężeją, a krew zamarza w żyłach. Kolejne lampy gasły, a strefa mroku zbliżała się do niego w równych odstępach czasu. Miał wrażenie, jakby jego nogi zostały wbetonowane w asfalt, na którym stał.

Gdy wyraźniej zobaczył kształt, powoli przesuwający się w ciemności, miał ochotę przełknąć ze strachu ślinę, lecz mu jej zabrakło. Odzyskał zdolność poruszania nogami w chwili, gdy od kształtu dzieliły go tylko cztery palące się latarnie. Przerażony, rozejrzał się za jakimkolwiek miejscem, w którym mógłby ukryć się przed tym czymś. Cokolwiek podążało w jego stronę, był pewien, że nie chce tego spotkać. „Co ci przyszło do głowy, żeby szlajać się po nocy, i to w Zaduszki?!” – wyrzucał sobie. Gdy kolejna lampa zgasła, dopadł do najbliższej furtki. Szarpnął kilkukrotnie klamkę, ale bramka była zamknięta. Z braku czasu na szukanie innego schronienia, wcisnął się w zadaszony kąt. Miał nadzieję, że ta sama ciemność, która tak go przeraża, zdoła go również ukryć.

Zgasła następna latarnia. Jeszcze tylko dwie i tajemnicza postać znajdzie się tuż obok niego. Co się wtedy stanie? Czy go zaatakuje? A może zostanie zignorowany? Czy mógł się ludzi, że pozostanie niezauważony?

„Ojczy nasz...” – zaczął w myślach., „Któryś jest w Niebie...”. Z każdą chwilą czuł, że jego serce uderza coraz szybciej. Krew szumiała mu w uszach, dłonie i plecy oblał zimny pot. Zgasła latarnia najbliżej niego, a on zobaczył to coś, co sprawiało, że światła gasły.

Było niskie, przypominało zgiętą wpół babuleńkę, okutaną w jakieś stare szmaty, zakrywające ją od czubka głowy po same stopy. Materiał wydawał się bardzo brudny i sztywny, o ile Adrian mógł coś takiego ocenić z niestety wciąż zmniejszającej się odległości. Z fałd ubrania wystawała tylko przeraźliwie biała i nienaturalnie chuda ręka, z brudnymi, połamanymi paznokciami, które wyglądały jakby jeszcze niedawno rozkopywały...

„...grób” – pomyślał z trwogą Adrian. Mimo że był naprawdę przerażony, nie potrafił odwrócić wzroku od dziwnej zjawy. Postać kuśtykała, lecz cały czas parła na przód, prosto w jego stronę. Przed sobą, w wychudzonej dłoni, trzymała niewielką świeczkę z maleńkim niebieskim płomieniem, który był tak delikatny, że Adrian zdołał go dostrzec dopiero, kiedy postać podeszła naprawdę blisko.

Wstrzymał oddech, gdy zjawa przechodziła tuż obok jego kryjóWKi.

Nagle postać się zatrzymała. Stała dokładnie naprzeciwko chłopaka. Odwróciła głowę w jego kierunku, a on ujrzał jej długą, pomarszczoną twarz. Skórę miała bladą, usta – wysuszone na wiór, oczy – zasłonięte bielmem. Gdyby nie poruszyła ciekawsko głowę, patrząc wprost na niego, mógłby trzymać się nadziei, że rzeczywiście jest ślepa.

Zjawa odwróciła się jeszcze bardziej w jego stronę, ale tylko patrzyła. Nie robiła nic więcej. Chłopak czuł, że jego serce zaraz samo wyrwie się z klatki piersiowej. Nie miał pojęcia, co robić. Chwila przedłużała się w nieskończoność, a on i to dziwne coś jedynie na siebie spoglądali. Adrian miał wrażenie, jakby babuleńka na coś czekała.

– Wszelki duch Pana Boga chwali – wyszeptał i wstrzymał oddech, niepewny, co nadejdzie.

– I ja też – odpowiedziała zjawa głosem tak zachrypłym, jakby nie odzywała się od co najmniej stu lat. Następnie odwróciła się i kontynuowała swoją wędrówkę, gasząc kolejne latarnie. Chłopak zaczekał, aż oddaliła się kilka metrów, by następnie zerwać się do biegu, a pędził tak, jakby go całe Piekło goniło. Dotarł do domu w rekordowym tempie. Wpadł do środka, przekręcił wszystkie zamki i oparłszy się o drzwi, próbował uspokoić oddech. Nagle poczuł, że robi mu się niedobrze i znów zerwał się do biegu. Gdy wymiotował do toalety, w progu łazienki pojawiła się jego mama.

– Aż tyle popiliście? – zapytała. Pokiwał głową, nawet nie odwróciwszy się w jej stronę. Wiedział, jak bladej musiał być. – Zrobię ci herbatę – powiedziała i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Co mógł zrobić? Przyznać się jej, co widział? Jeszcze by biedna pomyślała, że wpadł w narkotyki albo zwariował.

Wstał, wypłukał usta i kilka razy chlusnął zimną wodą na twarz. Spojrzał w swoje odbicie. „A więc to tak wygląda ktoś, kto zobaczył ducha” – pomyślał.

Następnego dnia Adrian kupił największy znicz, jaki udało mu się znaleźć i poszedł na grób dziadka. Był tam zaledwie dwa dni wcześniej, ale po wczorajszej sytuacji nie wyobrażał sobie, by mógł wyjechać bez odwiedzenia tego miejsca ponownie. Zapaliwszy znicz, spojrzął czule na zdjęcie staruszka. Mężczyzna był na nim uśmiechnięty i pełen wigoru, dokładnie taki, jakim zapamiętał go wnuk.

– Dzięki, dziadziusiu – powiedział na głos. – Nie wiem, co by się stało, gdybyś mi tego wtedy nie powiedział.

Chłopak wrócił myślami do pewnej burzliwej nocy, kiedy miał jakieś osiem lat i grał z dziadkiem w karty. Wyłączono prąd i babcia poszła się położyć, a rodzice byli na imprezie u znajomych.

– Dziadku, czy duchy istnieją? – zapytał wtedy, trwożnie spoglądając za okna i w ciemne kąty pomieszczenia, słabo oświetlonego blaskiem świecy.

– Istnieją. Ale nie pokazują się zbyt często – powiedział dziadek. – Do domu obcy nie przyjdzie, jak go nie zawołasz, a wołać nie radzę. – Spojrzał surowo. – Bliski krzywdy ci nie zrobi. Ale jeśli kiedyś spotkasz jakiegoś ducha poza domem, powiedz mu: „Wszelki duch Pana Boga chwali”. Jeśli ci odpowie: „I ja też Go chwale”, możesz spokojnie iść dalej, ale jeżeli nie odpowie, uciekaj najszybciej jak możesz i schowaj się w najbliższym domu.

Wtedy Adrian przestraszył się nie na żarty, lecz teraz, po tylu latach, był wdzięczny. Nie wiedział, co by zrobił, gdyby nie ostrzeżenie dziadka. I dziękował Bogu, że zjawa odpowiedziała.

KIDS of EVIL

MIEJSCE DLA MIŁOŚNIKÓW RETRO POPKULTURY
KLASYKA NIE UMIERA NIGDY



[FACEBOOK.COM/KIDSOFEVIL](https://www.facebook.com/kidsofevil) [INSTAGRAM.COM/KIDSOFEVIL](https://www.instagram.com/kidsofevil) [YOUTUBE.COM/KIDSOFEVIL](https://www.youtube.com/kidsofevil)

[WWW.KIDSOFEVIL.COM](http://www.kidsofevil.com)

Z KOMIKSAMI ZVYRKE LATO TRWA WIECZNIE

ZVYRKE.SELINO.PL FB.COM/ZVYRCOMICS

INSTAGRAM.COM/ZVYRKE



(LUB WYSZUKAJ „ZVYRKE” NA GILDIA.PL)



rys. Małgorzata Silkowska

TATUŚ

Krystian Bałajewicz

DATA RECOVERY – 100%

WOULD YOU LIKE TO OPEN RECOVERED FILES NOW?

YES

NO

Klik.

– Zaczynij od najpóźniejszego. Podobno chcą podważyć, że to było samobójstwo.

Klik.

MOV_3678329 21.03.2025

Ciemny pokój w zajeździe „Zakłeci Łowcy” rozświetlały raz po raz niebieskie reflektory. Po grubym dywanie w tę i z powrotem chodził mężczyzna, nerwowo drapiący się po głowie i obgryzający paznokcie. Co chwila przerywał ten niespokojny marsz, aby wyjrzieć ukradkiem przez okno. Ze skraju olbrzymiego łóżka obserwował go z obawą mały chłopiec – Jaś – ubrany w pomarańczowe ogrodniczki. Dziecko wymachiwałokrótkimi, chudymi nóżkami i wodziło wzrokiem za swoim ojcem.

– Stefan Lunde – zagrział po całym motelu głos syntezatora mowy. – Jesteś aresztowany. Połóż się na podłodze z rękami za głową.

Spoconą twarz Stefana wykrzywił grymas wściekłości. Widać było, że słowa walczą w jego mózgu o wyjście na świat. Usta to manifestowały, poprzez ciągłe rzucanie bezgłośnychwyrazów.

– Nie! – wykrzyczał do okna.

Padł jednak zaraz na ziemię, ponieważ do drugiej strony szyby podleciał policyjny dron. Obłą biała bryła przeskanowała pokój kamerą na podczerwień.

– CEL_ZLOKALIZOWANY – wytrzeszczała i odleciała, warcząc śmigłami.

Mężczyzna poderwał się na równe nogi i dopadł do szuflady przy łóżku. Wyciągnął rewolwer.

– Tato, boję się – wyszeptał Jaś.

Stefan, trzęsąc się, podszedł do syna. Spoconymi dłońmi ujął jego drobne rączki. Spojrzał na niego ze łzami w oczach. Próbował coś wydukać przez zaciśniętą szczękę, ale nie potrafił. Przytulił dziecko do piersi i odciągnął kurek trzymanej kurczowo broni.

– Stefan Lunde, jesteś aresztowany. Połóż się na podłodze z rękami za głową.

Ojciec zacisnął powieki, spod których zaczęły spływać łzy.

– Ciekawe, czy bylibyście tacy mądrzy, gdyby to wam zabrano dziecko! – wykrzyczał. – Ha!?! Co byście wtedy zrobili!?

Jaś obrócił głowę w stronę drzwi.

– Tato, ktoś tu idzie.

Stefan rozejrzał się po pokoju, szukając ratunku. Wyglądał jak osaczone zwierzę w klatce. Wreszcie podjął decyzję i przez jego oblicze przemknął cień spokoju.

– Boże...

Przyłożył lufę do skroni. Rozległ się huk wystrzału.

END

– OK. Mamy odpowiedź na to pytanie. Cofnij teraz trochę. Chcę zobaczyć, czy żona mówiła przesłuchaniu prawdę.

Klik.

MOV_3678320 21.03.2025

Stefan siedział przy stole w obszernej kuchni, wyłożonej kafelkami. Na czarnym, granitowym blacie parowała herbata w kubku. W tym czasie Jaś bawił się na podłodzeresorakami. Naprzeciwko mężczyzny siedziała smukła kobieta w dresach i wyciągniętej bluzie. Z fascynacją przyglądała się chłopcu.

– To niesamowite – szeptała raz po raz.

Mężczyzna był wyraźnie z siebie zadowolony.

– I co masz zamiar z tym zrobić? – zapytała.

Stefan wzruszył ramionami. Nonszalancko strzepnął nieistniejące okruszki ze stołu, po czym spojrzał swojej byłej żonie w oczy.

– Pomyślałem, że spróbujemy jeszcze raz – rzekł przesłodzonym głosem. – Mamy w końcu dziecko do wychowania.

– Chyba żartujesz! – parsknęła śmiechem, lecz wesołość szybko zniknęła z jej twarzy. Zobaczyła minę Stefana. Milczała przez chwilę. – Nie żartujesz? Już o tym rozmawialiśmy – dokończyła surowo.

Mężczyzna przyjął bardzo zagubioną postawę. Skrzyżował ręce na piersi i spuścił głowę. Anita tylko westchnęła. Wspólne życie prowadzili przez ponad dekadę, ale nie miała już siły.

– Przepraszam. Wiem że mnie kochasz. Ja Ciebie...chyba też. Ale nie mogę znowu...

– Teraz będzie jak dawniej – zapewnił pospiesznie Stefan. – Już niczego nam nie brakuje.

Nagle twarz kobiety się zmieniła. Gdyby wzrok mógł rzucać gromy, jej rozmówca padłby trupem.

– To dlatego to zrobiłeś!? Boże, przy całym swoim geniuszu dalej jesteś idiotą...

Stefan westchnął. Klepnąwszy się w kolana, wstał i złapał Jasia za rękę.

– Późno już. Powiedz Anicie dobranoc.

– Dobranoc, Anita – wydukał Jaś.

Kobieta odprowadziła ich do drzwi. Atmosfera była gęsta. Stefanociągał się z założeniem kurtki, bo liczył na zmianę zdania w ostatniej chwili, ale nic takiego nie nastąpiło. Już chwycił za klamkę, gdy usłyszał:

– Stefan?

– Tak? – odpowiedział szybko, wręcz ociekający nadzieją, i odwrócił się w stronę Anity.

– Jak zrobiłeś mapowanie neuronowe? Do tego potrzebujesz żywego mózgu. I to niejednego.

Stefan zmarszczył brwi i wycodził przez zęby:

– Dobranoc.

Po czym trzasnął drzwiami.

END

– To się pokrywa z zeznaniami w stu procentach. Dobra, dawaj pierwszy, jaki znajdziesz.

Klik.

MOV_3678300 21.03.2025

W ciemnym warsztacie raz po raz ciszę przerywał odgłos pracującej wkrętarki. Na stole, wciśniętym w kąt, leżała cała masa przedmiotów. Większą część blatu zajmował komputer, wciąż kompilujący jakiś bardzo złożony program. Obok niego znajdowały się obcęgi, dwa dłuta oraz cała galeria kluczy i miniaturowych śrubokrętów, które tworzyły szeroki półokrąg pustki. W nim stało zdjęcie Stefana, Anity i chłopca uderzająco podobnego do Jasia, oprawione w ramkę. Właściciel warsztatu wyraźnie pilnował, żeby bezładnie porozrzucone narzędzia nawet na centymetr nie zbliżyły się do tej relikwii. Z komputera odchodził szereg grubych kabli, podłączonych do czaszki robota imitującego dziecko, siedzącego nieruchomo na taborecie w centrum warsztatu. Stefan, klęcząc, dokręcał mu ostatnie śruby na czubku czaszki.

– Tato, to boli – marudził Jasio, wiercący się na krześle.

– To nic, kochanie, to nic – rzekł mężczyzna, głaszcząc metalową czaszkę. – To już ostatnia aktualizacja, obiecuję.

Komputer zapikał i Stefan odłożył narzędzie. Zerknął w stronę ekranu. Z aprobatą pokiwał głową – kompilator nie wykrył żadnych błędów. Mężczyzna mógł odłączyć kablesterczące z tyłu głowy robota. Następnie zamknął klapkę z gniazdkiem, która z daleka wyglądała jak niewielka blizna na potylicy. Potem wyciągnął małą latarkę z kieszeni. Zaświecił nią prosto w źrenice Jasia. Gdy te się skurczyły, zgodnie z oczekiwaniami, schował przedmiot do kieszeni. Ucałował swojego odzyskanego syna w czoło.

– Mój chłopiec – szepnął cicho.

– Już? – zapytał z nadzieją w głosie Jaś.

– Już.

Robocik zeskoczył z taboretu i pobiegł do warsztatu. Już po chwili jeden ze śrubokrętów stał się złowrogim lordem, próbującym zapanować nad całym światem. Na szczęście, uciśnionej ludności pomocami pospieszyć płaska dziesiątka i jej wierny towarzysz imbus. Stefan przetarł oczy i chwilę przyglądał się tej narzędziowej wojnie. Wreszcie, podwinawszy rękaw, spojrzął na zegarek.

– Jasiu, jesteśmy umówieni. Chciałbym, żebyś poznał mamę.

Jaś udawał jednak, że nie słyszy. Właśnie odgrywał kluczowy moment, w którym imbus ratuje płaską dziesiątkę przed zrzuceniem z krawędzi stołu.

– Jak się szybko ubierzesz, to kupię ci samochodzik.

Robocik natychmiast odwrócił głowę i spojrzał na swojego twórcę bystrymi oczami.

– Hot hilsa?

Stefan pokiwał głową, więc Jaś pobiegł do pokoju dziecięcego. Wszystkie rzeczy były tamokryte folią. Chłopiec z szelestem podniósł płachtę zasłaniającą szafę i wygrzebał z niej pomarańczowe ogrodniczki. Włożył je sprawnie, ale gdy spojrzał na klipsy zapinające szelki, zamarł w otępieniu.

– Tato! – zawołał.

Mężczyzna przybiegł do pokoju. Klepnął się w czoło.

– No tak, zapomniałem.

Gdy zapinał klipsy, Jaś spuścił głowę.

– To znaczy, że znowu będziesz mnie aktualizował?

Stefan spojrzał na swojego syna, uśmiechnięty.

– Nic już Ci nie trzeba – szepnął. – Jesteś idealny.

Obaj przeszli do przedpokoju i podczas gdy Jaś zakładał kurtkę, Stefan przyniósł dwa ciężkie worki na śmieci. Już mieli wychodzić, kiedy robocik schylił się i podniósł zakrwawiony dziecięcy bucik.

– Tato, wypadło ci.

Stefan spojrzał z przerażeniem, po czym szybko schował przedmiot do worka, z którego ten wypadł.

– Dziękuję, synku. A teraz chodź.

END

– No, to mamy całość – powiedział prokurator, odchylając się w swym siedzeniu.

Siedzieli razem z sądowym informatykiem i przeglądali materiał filmowy. Wyświetlali go na komputerze, który szeregiem kabli był podłączony do czaszki wyłączonego Jasia.

– Zgraj mi to na dysk i przekaż, proszę, mojemu asystentowi. Będzie trzeba wyciąć tylko tę scenę z bukiem.

– A co z robotem?

Prokurator spojrzał na chłopca i się wzdygnął.

– Zrzuć, co potrzebujesz, i zutylizuj. Wygląda jak laleczka chucky – powiedział z odrazą.

Informatyk przytaknął. Po chwili obaj wyszli z pokoju i zostawili włączony komputer, aby transfer danych spokojnie się zakończył. Finalną procesję zer i jedynek przebiegającą w głowie robocika sygnalizowała jego, wciąż podskakująca konwulsyjnie, lewa powieka.

END



rys. Izabela Wojciechowska

ŻÓŁCI LUDZIE

Rafał Pietrzyk

— *Czy wierzysz w żółtych ludzi?*

— *Ja wierzę.*

Jestem starym człowiekiem. Dwojako starym. Metrykalnie nie jest jeszcze ze mną aż tak źle. Psychicznie gorzej. Wewnątrz czuję się zgniły.

Nie wychodzę z domu nazbyt często, w zasadzie nie wychodzę wcale. Zakupy albo rachunki, czasami lekarz – na miesiąc będzie ze trzy razy. Nie snuję się parkowymi alejkami w nadziei na spotkanie znajomego, bo trwałych znajomości nie nawiązałem. Nie wyładowuję frustracji na grających w piłkę dzieciakach, gadając, jak to kiedyś było lepiej. W tramwajach nie walczę o krzesła. Wolę stać z tyłu, przy szybie. Stojącego dużo trudniej okraść. Nie kupuję łabędziej przyjaźni suchym chlebem.

Czasem, kiedy już wyjdę, pozwalam sobie na ciastko, ale zawsze proszę, by zapakować. A potem wracam i jem. Ja i pies.

No właśnie. Pies.

Pies jest kudłaty, wysoki. Ma długie uszy, którymi tak śmiesznie macha, kiedy mnie wita. Na brzuchu rok jakoś będzie, jak mu się porobiły jakieś paskudztwa. Rany, które co dzień z wielką pasją zalizuje, tylko po to, by nazajutrz wszystko zaczynać od nowa. Ale się nie uskarża. To dobry pies. Nie budzi sąsiadów wyciem.

Psu na imię jest Pies i obu nam z tym dobrze. Znamy się długo. Dawno przeszliśmy na ty. Imiona nie są nam do niczego potrzebne.

Pokój, w którym mieszkamy, jest bardzo mały. Za kuchnię służy maszynka na jeden palnik i stara, zniszczona lodówka. Łazienka jest na końcu korytarza i chodzę do niej jedynie wtedy, gdy muszę. Nie lubię spotykać ludzi z naszego bloku, bo zawsze odruchowo czuję wstyd. Nie wiem czemu. Chyba za to wszystko wokół mnie. Poza tym słyszałem, jak kiedyś o mnie mówili. I o moim mieszkaniu – że w nim śmierdzi. Może i tak.

Czasem zdarza mi się sikać do butelek.

Miałem w domu także telewizor. Mały, trzynaście cali. To znaczy mam go nadal, ale około pół roku temu przestał odbierać. Włączałem, włączałem i nic. Pomyślałem, że może po prostu usnął. Że tylko śpi. Codziennie próbowałem go obudzić.

Miesiąc temu zamówiłem nawet elektronika, czy jak to się tam teraz mówi na tych fachowców? Miał być nazajutrz, ale dwukrotnie przekładał i pojawił się dopiero po tygodniu. Duży chłop. Prawdopodobnie przyjezdny. Widziałem, jak bardzo się skrzywił, kiedy przestąpił próg, ale udałem, że nie rozumiem, o co chodzi. Bolało mnie tylko to, z jaką pogardą spojrział na mojego psa. I że nie spytał, czy groźny.

W ogóle ten człowiek czuł się w obcym miejscu bardzo pewnie. Najpierw bezceremonialnie otworzył piwo. A potem bez pytania postawił na stole torbę, nie dawszy mi nawet czasu, bym zwinął obrus. Na telewizor nawet nie rzucił okiem, mówiąc, że jest już późno i nie ma z sobą narzędzi. Chciał brać do siebie na warsztat. Nie pozwoliłem.

Przecież gdyby odbiornik nagle się przebudził w obcym miejscu, mógłby się bać. Już lepiej niech stoi zepsuty, niż obce łapy miałyby przy nim grzebać. Tutaj na czarnej szafce ma swój dom. To mniej więcej powiedziałem elektrykowi, pomijając fragment o obcych łapach. Puknął się w czoło, sądząc, że tego nie widzę.

— Co kto tam lubi — powiedział.

Potem zapytał, czy nie chcę opchnąć na części. Pokój mały. Po co trzymać w domu takiego grata? Dawał trzydzieści złotych, płacąc żywą gotówką. Kazałem wyjść. Wtedy już się popukał oficjalnie i zażyczył sobie siedemdziesiąt złotych za diagnozę. Zupełnie jak jakiś lekarz.

Nie chciałem płacić, a on nie chciał ustąpić. Mówił, że droga benzyna, że cenny czas. Krakowskim targiem ustaliliśmy czterdzieści pięć. Podałem mu pięćdziesięciozłotowy banknot, nie miał wydać. Jestem niedojdą. Trudno.

Gdy wyszedł, zostawiwszy na odchodne zawleczkę od piwa, od razu przekręciłem zasuwkę w drzwiach, a następnie po prostu się rozplakałem. Aż pies wyjrzał spod stołu.

Powiedziałem odbiornikowi, żeby się nie bał. Że go nie wyrzucę ani nie oddam na części, bo tutaj jest jego dom. Na koniec wytarłem go z kurzu i sprawdziłem w zeszycie z prognozami, ile ten wydatek dla nas znaczy? Gdzie można nieco przykręcić, by jakoś żyć? Znaczył dużo. Ciastka skreśliłem pierwsze.

Nazajutrz odruchowo nacisnąłem włącznik telewizora. Zadziałał za pierwszym razem i działał czternaście dni. Niech mi ktoś powie, że dobroć się nie opłaca.

Po równiutko dwóch tygodniach zgasł na dobre. Tak jakby chciał się pożegnać. Wiedziałem, że nigdy więcej nie zadziała. Wtedy dostrzegłem w odbiciu kineskopu dwóch żółtych ludzi. Stali na środku pokoju i się cieszyli. Zamknąłem oczy, a gdy je ponownie otworzyłem, już ich nie było. Telewizor przykryłem chustą po mojej ciotce. Od tego czasu boję się odbić. Nie mam w domu nawet jednego lusterka.

żÓlCi Ludzie

Żółci ludzie są różni. Tak jak i my. Jedni bywają współczujący, inni nie. Wszyscy są strasznie płochliwi. Nie są wysocy. A raczej są bardzo niscy. Siedemdziesiąt, góra osiemdziesiąt centymetrów. Dostrzec ich można, patrząc w głębię jeziora albo w odbiciu bardzo starego szkła. Nie ma na ich temat żadnych książek.

Od dawna prowadzę zapiski o żółtych ludziach, ale to trudny temat i nie zapisałem nawet połowy zeszytu. To, co najważniejsze, podkreśliłem:

Są mali i szczupli. Można ich dostrzec jedynie w odbiciu szyby. Ewentualnie bardzo starego szkła czy tafli wody. Ich twarze są zamazane i skryte pod kapturami żółtych kurtek. Pojawiają się zawsze, gdy coś bardzo ważnego ma się wydarzyć. Żółtych ludzi widzą tylko nieliczni.

Później opowiem o nich trochę więcej. Teraz chciałbym o sobie.

Pragnę powiedzieć trzy zdania o otoczeniu, w którym przyszło mi żyć. I o tej zimie bez śniegu, co jest w człowieku. O swoim małym, prywatnym świecie. A kiedy skończę, włożę palto i wyjdę. Odwiedzę bank, kupię ciastka po drodze i pójdę dalej. Nie wiem którędy i dokąd. Nie mam planu. Ten powstanie po drodze. W domu jest bardzo cicho, bo nie mam radia. Nie ufam głosom bez twarzy.

Pies nie oddycha od wczoraj. Może śpi? Nie muszę jeść ciastek w domu.
Żółci ludzie tańczą w szklankach na stole.

mÓj ŚwIaT

Mój świat to metraż pokoju i szlak do starego kibla.. To schody, winda i chodnik. To tramwaj z numerem siedem. I mały sklep osiedlowy, który zjednał mnie tym, że dobrze wydają resztę. To także kiosk nieopodal, w którym jeśli się nie nachylisz do okienka, możesz na zawsze pozostać anonimowy. To cukiernia.

I chyba tyle. Więcej ich nie pamiętam.
Za wszystkie serdecznie żałuję.

Wychodząc, zauważyłem, że napis K+M+B na drzwiach został zastąpiony słowami: ÓWAGA ŻMIERDZI SZCZYNAMI. Dwie dziewczynki zerkały zza drzwi nieopodal, wystawiając głowy w taki sposób, że widziałem tylko połówki ich roześmianych twarzątek. A może miały tylko połówki twarzy? Nieważne. Nawet mi się nie chciało tego ścierać.

Windą nie jeżdżę, odkąd wstawiono kolejne lustro na całą ścianę. Dwa poprzednie zbiłem na kawałeczki. Cztery piętra schodami. Taki los. Na dworze niezbyt przyjemna wilgoć i zimno jak na Syberii, ale w nagrodę niemal puste ulice. Taki stan rzeczy mi odpowiadał.

Miałem już ruszać, kiedy dostrzegłem wysoką lampę bez abażuru, którą ktoś pozostawił pod zsysem. Ciekawe, czy jej obiecał, że zaraz wróci.

Poszedłem na tramwaj, bo do banku mam naprawdę spory kawał, ale w połowie drogi zawróciłem. Gdybym tego nie zrobił, gryłoby mnie to. Pewnie przejechałbym góra jeden przystanek i wysiadł. Zaoszczędziłem więc cenny czas.

Nie jestem jednym z tych, co ciągną śmieci do domu, ale obojętny na cierpienie też nie potrafię być. A porzucony przedmiot jest jak przywiązany do drzewa pies. Krzyczy i cierpi podobnie. Trzeba tylko umieć się w to wsłuchać.

Przeniósłem lampę do siebie, płosząc kogoś spod swoich drzwi, i zostawiłem razem z martwym psem. Po drodze ktoś za mną krzyknął, że jestem dziwak. Pięć minut później byłem już na przystanku. Tramwaj odjechał cztery minuty wcześniej.

Podsumowałem to wszystko we własnej głowie i szczerze się z siebie uśmiełem. Dwie nastolatki ominęły mnie łukiem, szerszym niż było to konieczne. Ubrane stanowczo zbyt lekko jak na taką pogodę. Bez czapek. W rozpiętych kurtkach.

Trudno – pomyślałem. Niech sobie umrą.

Tramwaj przyjechał piętnaście minut później. Jak zwykle poszedłem na koniec. W środku od czterech chłopców dowiedziałem się, że moje palto musi być bardzo drogie, bo waży pewnie ze dwa kilo. Nie do końca zrozumiałem, o co chodzi. Potem jeden z nich wskazał na odbiorniczek, co to noszę go w uchu, by lepiej słyszeć, i spytał, czy nie mam tam może jakiegoś niezłego rapu. Następnie wymienił szybko ze trzy pseudonimy. Jego koledzy pokładali się ze śmiechu. W końcu wysiedli i poszli w swoim kierunku. Patrzyłem, czy aby nie staranuje ich przypadkiem ciężarówka. Niestety nie staranowała. Żółci ludzie patrzyli na mnie z za szyb.

W banku mi powiedziano, że jeśli zdecyduję się na jednorazową wypłatę całej sumy, to stracę ponad sto złotych. W odpowiedzi spytałem siedzącą za ladą ciemnowłosą dziewczynę z żelastwem w nosie, czy grywa może w szachy albo kanastę. Zrobiła obrażoną minę, mówiąc, że nie ma najmniejszego powodu, by być niemiłym. Że tylko wykonuje obowiązki.

Czemu ludzie reagują tak panicznym lękiem na nieznanne?

Wyszedłem bogatszy o przeszło tysiąc osiemset polskich złotych i udałem się prosto do cukierni. Wcześniej, gdybym wybrał choćby połowę tej sumy, pewnie kazałbym się zawieźć taksówkarzowi pod sam blok. Nie z rozrzutności, tylko z obawy, że mnie okradną. Teraz jednak to nie miało znaczenia. Czułem się tak, jakby kroczący za mną ogień spopielał wszystko, nie pozwalając mi ani zawrócić, ani się zatrzymać. Nie spojrzałem ani razu za siebie z obawy, że go zobaczę. Ogień lub żółtych ludzi niosących za mną pochodnie.

W cukierni była Joanna, jedyna porządna dziewczyna, jaką znam. A może i jedyny dobry człowiek? Przywitała się ze mną serdecznie i zapytała, co też tym razem. Na co mam dzisiaj chęć?

Wybrałem dwanaście ciastek, a ona spytała, czy ma je tak jak zwykle zapakować? Wtedy pękłem i przez łzy opowiedziałem jej o swoim psie. O tym, że umarł. I że ja też umieram. Tak po prostu.

Gdy skończyłem, zapytała mnie o żółtych ludzi. O to, czy ponownie ich widziałem? Myślę, że gdybym poprosił, zamknęłaby sklep i pozwoliła mi zostać, ile tylko bym chciał.

Nie miałem jednak zamiaru narażać jej na kłopoty. Nie wiedzieć czemu, Joanna bardzo mnie lubiła, ale jej szefowa już tej sympatii nie podzielała.

Skinąłem, że tak, że widzę ich nawet teraz. Że łypią na mnie z za jarzeniowego światła i śmieją się z tortowych salatek. Przyglądają mi się z za wystawowych szyb.

Mój wywód mocno ją przygnębił. Zmarkotniała. Potem położyła na ladzie małe, czarne pudełko, pytając, czy ma gdzieś zadzwonić. Po kogoś albo po coś. Chwilę milczałem, aż się zarumieniła. Chyba zrozumiała, że tym kimś jest ona.

Kiedy pakowała ciastka, milczała, wbijając wzrok w swój zgniłozielony sweter. Podziękowałem, położyłem na blacie czterysta złotych i wyszedłem. Wybiegła za mną, ale żółci ludzie mnie ukryli i tylko widziałem, jak zarzuca swoim pięknym długim warkoczem, kiedy macha głową na boki. Jak woła mnie po imieniu.

W końcu zmarzła i zrezygnowana powlokła się z powrotem. Ja zaś poszedłem nad staw.

Żółci ludzie nie grywają w karty, chińczyka oraz kości. Nie znają szachów i nie stawiają pasjansów. Nie interesuje ich nic, czego nie znają. A jedyne zasady, jakie wyznają, są ich własne.

Staw był częściowo zamrznięty ale nie skuty na amen. Oczyszczyłem ze śniegu ławkę, która stała najbliżej i usiadłem. Obok położyłem smakołyki. Potem wyjąłem zeszyt z zapiskami o żółtych ludziach.

Na pierwszej wolnej stronie napisałem drukowanymi literami: SĄD. Potem, jedząc, zacząłem gorączkowo rozmyślać. Swoje myśli ujmowałem w podpunkty. Po jakiejś godzinie miałem ich dziewięć. Uznałem, że to wystarczy.

Dziewięć drobnych kroków – pomyślałem. Dziewięć kroków. Dziewięć. Potem zauważyłem, że mniej więcej właśnie tyle metrów dzieli mnie właśnie od stawu.

Jestem emerytowanym nauczycielem matematyki, matematykiem i kabalistą. Zajmowałem się kiedyś chaosem liczb i ich wpływem na świat. Do dwutysięcznego miejsca po przecinku znam liczbę Pi. Dawniej też nałogowo grywałem w szachy.

Jedno wiem. Żyjemy w dziwnym świecie, o którym tylko nam się wydaje, że coś wiemy.

Żółty człowiek siedzący na ławce obok mnie skinął głową. Nie przeszkadzało mi, że słyszy moje myśli, ponieważ się z nimi zgadzał.

SĄD

Każą się tytułować ludźmi, lecz to tylko człowieczki. Małe knypki. A żółci są z zazdrości, za swoją małość.

Wniosek, że są różnorakie, wysnuty błędnie. Nie ma ich różnorakich. Są tylko źli.

Odnaleźć ich można we wszystkich magicznych liczbach. W jedenastce, siódemce, trzynastce oraz trzech szóstkach. A królową tych wszystkich liczb jest dwadzieścia trzy.

Żółci ludzie naśmiewają się z tego, co o nich myślisz. Uważają się za lepszych. Kiedyś robili psoty, ale bycie chochlikami już im przestało wystarczać. Teraz są źli. Wrzucanie kociąt do ognisk daje im radość. Uwielbiają czynić występki obcymi dłońmi.

Przypuszczenie: Prowadzą do nich różnorakie drogi Droga zbyt żarliwych modłów . Ucieczka w satanizm oraz stany poszerzające świadomość. Do tego wszelakie formy uzależnienia. A także nauki ścisłe. Matematyka. Biologia. Fizyka. Także chemia.

Ciekawostki: Rozdział 23 na człony. Podziel 2 na 3, a wyjdzie 0.666. Pod dwójką i trójką na klawiaturze jest W jak Wiktoria. A licząc od pierwszej litery (Q) w prawo, 23. literą będzie V jak Victory (zwycięstwo). $2 + 3 = 5$. Piątkę oznacza się Rzymską literą V. Symbolem zwycięstwa. Ludzie mają po 23 pary chromosomów.

Gasnące nagle światła. Dziwne wypadki. Zbiegi okoliczności. Telekineza. Większość tych zjawisk zachodzi z ich powodu. .

WNIOSEK NADRZĘDNY!!!

Pod żadnym pozorem nie należy ich poszukiwać w żadnej z dziedzin, bo... nawiązać z nimi kontakt jest trudno, ale zmusić ich do odejścia już nie sposób. Działają podle i tylko wedle własnych upodobań. Niosą zgubę, żywiąc się całym spektrum negatywnych myśli. Żadne znane modły ani egzorcyzmy nie są w stanie trwale ich odstraszyć. A nad wyrządzanie krzywd fizycznych przekładają dręczenie psychiczne, w czym są mistrzami. Nie należy wierzyć ich obietnicom ani wchodzić z nimi w jakiegokolwiek interakcje. Opornych łamią poprzez gnębienie najbliższych.

Nienawidzą domowych zwierząt, gdyż te je bezbłędnie wyczuwają. I w zemście za to żółci nacinają im brzuchy. Potrafią się pobratać z otoczeniem i czerpać z elektryczności.

Teza, że śmierć jest od nich uwolnieniem – nieudowodniona.

Epilog

Kobieta wstała akurat wtedy, gdy mężczyzna szedł już po taflę stawu. Najpierw pomyślała, że ma szczęście, iż w ogóle zdołała się obudzić. Przecież na takim mrozie to...

Nie lubiła składać fałszywych obietnic Bogu, więc nie przysięgła, że przestanie pić. Obiecała jednak przykładać większą wagę do miejsc, w których będzie raczyła się procentami. Wtedy przyjrzała się dokładniej idącemu, a zwłaszcza wianuszkowi dzieci, który mężczyznę otaczał. Przetarła śniegiem twarz, sądząc, że to tylko wyjątkowo wredne delirium mąci jej w głowie. A potem jeszcze raz. I jeszcze. Nic z tego. Obraz przed oczyma się nie zmienił.

Dzieci było ponad dwadzieścioro. Większość szła za mężczyzną krok w krok, tworząc coś na wzór nawiasu odgradzającego go od brzegu. Dwoje dzieci ciągnęło go za ręce, by szedł dalej. Nie wiedzieć w zasadzie po co, bo wyglądało na to, że człowiek ów wszedł na lód dobrowolnie. Niemniej jednak ręce miał wyciągnięte przed siebie pod dziwnym kątem, jakby go naprawdę coś ciągnęło. Kobieta ponownie przetarła śniegiem spuchniętą twarz.

Dzieciarnia była do siebie podobna wzrostem, jak gdyby wszyscy byli z tej samej klasy. Ale to z kolei było niemożliwe, bo dzieci były za małe nawet na pierwszoklasistów. Niskie, poniżej metra. I wszystkie w takich samych żółtych kurtkach z kapturami zaciągniętymi na głowy. Kapturami, spod których nie wyglądały ich twarze.

Po chwili dostrzegła coś jeszcze dziwniejszego. Ptaki. Były ich setki. Wszystkie fruwały, żaden nie siedział na drzewie.

Wtedy lód się załamał, pochłaniając idącego mężczyznę. A dzieci po prostu zniknęły, jak gdyby porwał je wiatr. Natarła sobie twarz śniegiem kolejny raz.

Tym razem wzrok się wyostriżył i dostrzegła coś na ławce. Coś, co wyglądało jak pudełko z ciastkami. Pełna obaw, wciąż nie do końca trzeźwa, ale i zarazem pieruńsko głodna zbliżyła się i... faktycznie, to były ciastka. Dziewięć sztuk. Kremówki, pączki, jagodzianki. A obok, matko jedyna, skórzany portfel!

Pochwyciła go, zupełnie zapominając o głodzie. I tak... Tak, jak w jej snach. W środku były pieniądze. Tysiąc czterysta złotych i jakieś drobne. Obok zaś leżał zeszyt i długopis.

Przekartkowała kajet, bo ludzie bardzo często chowają w nich kasę, ale pełen był on tylko jakichś bazgrołów. W dodatku na niemal każdej stronie pozapisywano jakieś matematyczne obliczenia. Już miała rzucić zeszyt w śnieg, lecz się wstrzymała.

Co jeśli ten, który poszedł pod wodę, odkrył jakiś system na totolotka? Nie wolno takiej szansy zaprzepaścić. Trzeba wziąć i pokazać wszystko Radosławowi. On się na matmie znał jak mało kto. A nawet, jeśli dobrze pamiętała, sam ją kiedyś wykładał. Nie

można tego wyrzucić. Trzeba wziąć. Jak otrzeźwieje, na pewno będzie chciał rzucić okiem. Nie można tego wyrzucić. Trzeba wziąć.

Od tych wszystkich nagłych zwrotów akcji zaparowały jej przeciwsłoneczne okulary, które ciągle miała jeszcze na nosie. Co prawda słońca nie było, ale ona zawsze je zakładała do alkoholu. Gdy chłała, puchła jej twarz, a nie chciała, by ludzie ją taką widzieli. A teraz te okulary zaparowały.

Ściągnęła je, chcąc wytrzeć w rękaw, i wtedy stało się coś, od czego stanęło jej serce. Poczuła ostre ukłucie, zakasłała i zrosiła śnieg gęstą krwią. W odbiciu okularów dostrzegła całą gromadę tych żółto ubranych dzieci. Otaczały ją kołem. I mimo że wszystkie się śmiały, żadne nie miało twarzy.

Upadła w śnieg, ciągle ściskając portfel z ponad tysiąc czterystoma złotymi w środku. A mówiąc ściślej: tysiąc czterysta dwudziestoma trzema złotymi.

Matematyczny zeszyt o żółtych ludziach upadł tuż obok niej.

— *Czy wierzysz w żółtych ludzi?*

— *Ja wierzę.*



SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

PARTNERZY





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

